ŚWIAT DZIEWCZĄT

Nº 10



Rok I. Warszawa, dnia 1. kwietnia 1933 r. Nr. 10.

Świat Dziewcząt

WYCHODZI 1-GO 10-GO I 20-GO KAŻDEGO MIESIĄCA

CODZIENNE DROGI

Za wiele wiele lat, kiedy wspomnienia młodości zabarwią się spóźnionem wzruszeniem, a tęsknota stanie się jedyną i niewątpliwą prawdą naszych myśli, drogi, które dziś przemierzamy, drogi zwykłe, codzienne pojawią się przed nami, jako symbole minionych szczęśliwości. Każde drzewo, wyrosłe na rozstaju dróg, z których jedna prowadziła niewątpliwie do szkoły, każdy przekrzywiony szyld na domu, gdzie mieścił się ongi warsztat naszej pracy, urośnie do rozmiarów nastroju, stanie się talizmanem serca, po który sięgniemy w chwili troski, w chwili depresji, zwątpienia czy pustki moralnej.

To jedno drzewo, jakiś specjalny kamień, leżący na naszej codziennej drodze, wydeptany stopień schodów, wszystko to nasunie nam (kiedyś tam, za wiele lat!) przed oczy obraz naszej szkoły, rodzinnego miasta, wogóle czegoś, co było punktem wyjścia do naszej podróży przez życie. I wtedy zrozumiemy, że odrapane, brudne domki małego miasteczka, że szare płaskie krajobrazy wsi, że standaryzowana proza wielkiego miasta, że codzienność pracy w szkole, biurze, czy pracowni, że wszystko to, kochałyśmy mocno, tak mocno, że zaledwie po wielu latach możemy sobie zdać z tego sprawę. Czy nie zapóźno, przyjdzie nam wówczas na myśl, że marnowałyśmy napróżno przez wiele lat kapitał uczucia, że byłyśmy złe, niewdzięczne nielojalne, w stosunku do otaczających nas murów, drzew, dróg i pól, wśród których wyrosłyśmy i których cząstką jesteśmy?

Aby zapobiec tym późniejszym, przykrym wyrzutom sumienia, które będą zdolne zatrzeć nam słodką chwilę wspomnień, poddajmy rewizji nasze dzisiejsze uczucia i zbadajmy, o ile czujemy się obywatelkami swego miasta, uczennicami swojej szkoły, pracownicami swego warsztatu pracy. Czy łączy nas z tem wszystkiem uczucie, czy obowiązek, czy nic zgoła.

Przyjrzyjmy się dobrze: uczucia nasze rozdrabniają się na zupełnie małe komórki, z których dopiero po trochu, cegła po cegle, kamień po kamieniu, możemy odbudować gmach naszej ogólnej miłości. Zaczyna się od jednego kochanego człowieka, który dla nas często jest przyjaciółką, potem zżywamy się sercem z całym środowiskiem najbliższem, z klasą, wreszcie poczuwamy się do zasadniczej solidarności ze swoją szkołą, lub ze swoim warsztatem pracy, kochamy więcej od innych to miasto...

Jeżeli przeczytałyście uważnie, miłe Czytelniczki artykuł — p. t. Ja i Cała Klasa — zrozumiecie już słowo *solidarności*, a także słowo *honor klasy*. — Wiecie, z czego wypływa poczucie odpowiedzialności za grupę, do której się należy, niezależnie od tego, czy jest to mała grupa, złożona z trzech osób, która przeciwstawia się innej grupie, złożonej także z trzech osób, czy też cała wielka szkoła, złożona z tylu a tylu klas, korytarzy, sal i tłumu dziewcząt i nauczycieli. A czasem to bywa kilka szkół, które stoją murem przeciw kilku innym. Działo się to przedewszystkiem w latach niewoli, kiedy szkoły prywatne, polskie, przeciwstawiały się szkołom rządowym, niemieckim lub rosyjskim. Na tle znowu wielkiej solidarności między-szkolnej, między grupami młodzieży polskiej zawiązał się ów sławny strajk szkolny, o którym słyszycie dziś, jak o ponurej legendzie, głoszonej dla wywołania w Was szczęścia rzeczywitsości. Dziś nie potrzebujemy przeciwstawiać się naszą solidarnością żadnej wrogiej potędze, jednak nasza łączność z pewnem środowiskiem występuje równie ostro, jak w czasach konkretnej walki i konkretnej obrony. Nie jest to jednak pierwiastek ściśle uczuciowy. Podświadomie odgrywa tu rolę pewien kapitał pracy, ułożony w biegu codziennych spraw i pewien zapas przeżyć, które pachną, jak kwiaty między murami szkoły, pracowniami, na ulicach miasta. Przywiązanie do codziennie mijanych widoków, do zawsze jednakowo skrzywionej latarni, do wydeptanych schodów, nie może pozostać w sferze tylko uczuć. Rodzi się z nich Czyn, lub pewnego rodzaju możliwość Czynu, zawartego w konsekwentnej linji postępowania. Ja i Moje — to jedna strona — wszystko inne druga, nieważna, często pogardzane, często... krzywdzona. Tak się jakoś dziwnie składa, że od obojętności przechodzimy odrazu do absolutnego szowinizmu że, albo nie umiemy stanąć w obronie naszej grupy, naszej szkoły, naszego miasta, albo też wyolbrzymiamy do gigantycznych rozmiarów ich zasługi, nie widząc poza niemi, wkoło siebie nic godnego uwagi, nic, coby je przewyższało. Uczucie koliduje z rozsądkiem, albo rozsądek przygłusza uczucie. Trzeba wybrać złoty środek, któryby nie był obojętnością, ani bezkrytycznym zachwytem, któryby umiał stanąć w obronie, a nie pogardzał wartościami innych.

Obojętność jest szalenie trudna do zwalczenia, bo punktem wyjścia dla niej jest pewien stan uczuciowy. Jakże mam kochać środowisko, w którem mi jest źle, obco i wrogo, w którem praca idzie, jak z kamienia, a trudności piętrzą się na każdym kroku. Jakże kochać ludzi, obok mnie pracujących, gdy są niechętni, źli, nieprzyjemni?

Wtedy trzeba odgraniczyć, ściśle odgraniczyć to, coby mogło dać uczucie, a to, czego wymaga obowiązek. Uczuciu możemy się sprzeniewierzyć, skoro nie możemy go w sobie zapalić, obowiązek jest koniecznością.

Uczucie dodaje do czynu tę szczyptę wzruszenia, które jest konieczne, aby czyn był absolutnie przekonywujący. Czyn wyrozumowany może być jednak bardziej logiczny, a napewno tak samo konieczny.

Czem jest taki czyn w stosunku do naszej najbliższej rzeczywistości? Co możemy zdziałać na naszych codziennych drogach, do szkoły, do pracy, czego żądają od nas, prowadzące daleko w świat, ulice naszego miasta? Żądają przedewszystkiem *lojalności*. Jest to zupełnie nowe słowo, bardzo ciężkie gatunkowo, bardzo ważne, bo na nim w trzech czwartych opiera się porządek społeczny.

Lojalność — to nieszkodzenie swemu najbliższemu środowisku; lojalność — obrona jego interesów, jego opinji, lojalność — to dążenie do absolutnej pożyteczności. Możesz nie lubić swego warsztatu pracy, możesz widzieć jego tysiączne wady, ale nigdy nie wolno ci tego rozgłaszać przed obcemi, a tembardziej niechętnemi.

Taki jest obowiązek w stosunku do naszych codziennych dróg, obowiązek, stojący poza uczuciem, który jednak zawsze zapobiegnie późniejszej gorzkiej myśli — byłam zła, niewdzięczna, niesprawiedliwa, bo jednak, spoglądając poprzez perspektywę lat, widzę, że Złe nie było Złem, tylko raczej Niedocenionem.

Jeżeli przychodzi uczucie, jeżeli już przyszło, czujemy je w sercu, jak rozlewa się ciepłą falą, to o czemże tu jeszcze można mówić.

Co tłomaczyć komuś, kto wychodząc rano z domu, zakochanem spojrzeniem obrzuca zabłocone ulice miasteczka, kto, poprzez kostropate dachy skrzywionych, brzydkich domków dojrzy, zawsze dojrzy, blado zieleniące, wiosenne gałązki kasztanów i powie, że miasteczko jest cudowne, kochane i najpiękniejsze na świecie.

Jakie argumenty wytaczać przed kimś, kto podróżując po najpiękniejszych ziemiach świata, powie, że tęskni za naiwną, wyboistą drogą między dwoma łanami złotego żyta?

Czasem się nie wierzy, czasem jest przykro, że nie jest tak, jak się mówi (małe, głupiutkie kłamstwo, czasem albo prawie zawsze zupełnie niepotrzebne!) ale — jakże inaczej powiedzieć, kiedy byłoby tak przykro!

Drogi, nasze codzienne drogi, które prowadzą nas do szkoły, do pracy, na spacery, które prowadzą nas naprzeciw radości i naprzeciw smutków! Wysiedziane ławki w klasie, pocięte tysiącznemi monogramami, znany widok z okna, naprzeciw którego siedzimy tyle już lat, znana rysa na piecu, z której tworzy się zawsze jednakowy profil i znany dobrze kształt rosochatego drzewa i zapach wiosny, lata jesieni i zimy, witający nas rokrocznie, rankiem na progu domu. Te wszystkie sprawy, rzeczy widome i uchwytne, są jedynie wykładnikami czegoś tajemniczego, do czego przywiązało się nasze serce. Do tego czegoś, zatęsknimy kiedyś, kobiety dojrzałe, poważne, starsze panie, gdy nagle powrócimy z dalekich podróży, do miejsc dzisiaj niedocenianych.

Zawiślanka.

ZA PROGIEM SZKOŁY

WIOSENNE PLANY.

Dzień, w którym po raz pierwszy od jesieni otwarto okno w klasie na całą szerokość był dniem naprawdę uroczystym. Nie pomogły groźne nawoływania dyżurnej, żeby się ostatecznie wynosić, bo ona musi uporządkować klasę, nie pomogły zimne podmuchy, które pomimo słońca wpadały do pokoju, przypominając niedawno minioną zimę; cała klasa skupiła się przy oknie, i wdychała wiosenne powietrze z przejęciem, odpowiedniem do tak poważnego obrzędku.

Nawet nie było przy tem normalnego klasowego hałasu, wiosenne wzruszenie, nieuchwytne, niewytłomaczone, a jednak rzeczywiste, przyciszyło najbardziej hałaśliwe, uspokoiło najżywsze, zesłało chwilę lekkomyślnej, nieprodukcyjnej zadumy, na najbardziej pracowite.

Nawet myśl o niedalekiej maturze uleciała gdzieś przez otwarte okno, zostawiając za sobą smugę poezji — marzenia o tem, co będzie po skończeniu szkoły.

Hala — sprawa była przesądzona — zostanie poetką. Już teraz pisze wiersze, długie wzniosłe strofy w których opiewa przyrodę, albo miłość, to znaczy — miłość na tle przyrody i przyrodę na tle miłości, jednem słowem wszystko to, co zazwyczaj piszą typowe grafomanki.

Z całej grupki, stojącej przy oknie ona wzrusza się najbardziej intensywnie, najwięcej mówi o pachnącem powietrzu, o zielonych, małych listkach i lepkich pękach kasztanów.

Ewa zaś jest milcząca. Przygladza dłonią swoje zawsze ulizane włosy i słucha Hali z małym uśmieszkiem. Z początku tego wcale nie znać, ale później okazuje się nagle, że uśmieszek ten był złośliwy i — wet, ba, nawet z pewnym odcieniem wyższości. Wyszło to na jaw wówczas, gdy Ewa rzekła:

— Tutaj przecież wcale niema wiosny w mieście. Czy, idąc rano do szkoły, albo wracając z niej, albo spiesząc do kina, czy do koleżanki macie czas zauważyć, jak rozwijają się listki. Czy w parkach i ogrodach, które wszystkie ścieżki mają grzecznie wygracowane, pachnie naprawdę ziemia? To wszystko, co mówi Hala jest zwyczajną blagą! Tylko ja, w moim podmiejskim domu z ogródkiem mogę wiedzieć, co to jest prawdziwa wiosna. Wiecie, jak tylko wracam do domu (jadę 3 kwadranse tramwajem) i niema za dużo lekcji, zaraz biorę się do roboty w ogródku. Od kilku dni obcinamy gałęzie na drzewach i krzakach i przekopujemy potrochę ziemię. Strasznie przyjemnie.

— A skąd ty wogóle umiesz robić te wszystkie rzeczy — zapytała Ewa. — Ostatecznie, ogrodownictwo to jednak coś, na czem się trzeba znać.

— Trochę czytam różnych książek. Mój brat jest na przyrodzie, więc od czasu do czasu daje mi któryś ze swoich podręczników. Teraz np. czytam bardzo ciekawą książkę *Krzemieniewskiego — Ochrona Przyrody*, a przedtem *Fabrego — Szkodniki*. Chciałabym koniecznie jeszcze przeczytać *Budowa materji — Fuchsa*, ale brat mówi, że to dla mnie za trudne. Myślę, że nie ma racji, bo ostatecznie maturzystka nie jest przecież żadną gęsią.



Obcinamy gałęzie na drzewach i krzakach i przekopujemy ziemię.



— Naturalnie! — zawołał zgodny chór, — ale chyba jak wstąpisz na uniwersytet, to już ci pozwoli.

— Nie wstąpię na uniwersytet, bo...

Reszta słów zniknęła w hałasie dzwonka, potem wszedł do klasy profesor matematyki i koleżanki nigdyby się zapewne nie dowiedziały, dlaczego Ewa nie pójdzie na uniwersytet, gdyby nie rozmowa, która miała miejsce w klasie po ostatniej lekcji, a zakończyła się ona słowami Ewy:

— Przyjedźcie do mnie w niedzielę, pogadamy o tem wszystkiem.

W niedzielę było akurat ładnie i prawie zupełnie ciepło, tak, że za miastem, w pustym prawie tramwaju można było rozpiąć palta, zdjąć z głowy berety i mówić co chwila. — Boże, jak ciepło, jak gorąco, jak niemożliwie gorąco!

Ogródek Ewy, był to sobie mały kawałek ziemi, otoczony sztachetami z białego, świeżego drzewa. Stało tam, jak białe widma 7 owocowych drzewek, które obiecywały gęstemi pączkami masy zielonych listeczków. Poza tem były tam przyjemne grządeczki, ładnie ułożone pomiędzy słabą jeszcze trawę: „miejsce na kwiaty", i „miejsce na sałatę", i wiele innych miejsc, a także jedna prosta ścieżka, prowadząca do małego domku. Ale któżby zwracał uwagę na domek!

Ogród, z pachnącą, brudzącą ręce ziemią (nawet Hala, poświęciła swój manicure) łopaty, grabie, o wyślizganych drągach, które trzeba było przynajmniej wziąść w ręce i trochę niemi poruszać.

A Ewa chodziła po tym swoim królestwie i opowiadała: ta jabłoń ma jabłka zupełnie ró-



W moim podmiejskim domu z ogródkiem.

żowe i bardzo słodkie, a tamta zielone i kwaśne, a tamta.

— Ach, jak ty się na tem wszystkiem znasz — mówiła z zachwytem Jadźka — jesteś już zupełnie mądra, i możesz iść na przyrodę.

— Nie mogę, bo to za długo trwa i za drogo kosztuje — rzekła z cichym westchnieniem Ewa. — Jakieś najmniej pięć lat kucia, a potem dopiero praktyka: a ja przecież muszę prędko skończyć coś praktycznego, żeby pomóc mamusi. Bo wiecie — tu głos się jej odrobinkę załamał — inaczej dom i ogródek trzeba będzie sprzedać.

— A co wymyśliłaś — zapytała współczującym głosem poetyczna Hala.

— Wymyśliłam takie sobie różne mniejsze szkoły i kursy ogrodnicze, które, choć są bardzo drogie — trwają krótko, a potem umożliwiają otrzymanie posady. Chcecie, to wam pokażę spis, może się jeszcze której przyda.

Ewa, wyciągnęła z jednej z tysiąca kieszeni wielkiego fartucha jakąś karteczkę i czytała.

Biała, woj. krakowskie — Trzyletnia Średnia Szkoła Ogrodnicza Koedukacyjna.

Krasnystaw, pl. 3-go Maja 1. Szkoła Przemysłowo - Handlowa Żeńska. Wydział ogrodniczy. Kurs 3 lata.

Płock, ul. Kolegjalna 21. Państwowa Szkoła Przemysłowo-Handlowa Żeńska. Wydział Ogrodniczy. Kurs 4 lata.

Fredrowa woj. lwowskie, 2-letnie Koedukacyjne Kursy Praktyki Ogrodownictwa. (Dla absolwentów szkół ogrodniczych).

Poznań, ul. Śniadeckich 54. Państwowe Kursy Ogrodnictwa (roczne).

Warszawa, ul. Myśliwiecka 14. Roczne Kursy Pszczelniczo-Ogrodnicze, Koedukacyjne.

Wilno, ul. Sołtaniska 50. Państwowe Kursy Koedukacyjne.

— Jak widzicie jest w czem wybierać — uśmiechnęła się na zakończenie Ewa — a to mnie najwięcej martwi, że do tych kursów przeważnie nie trzeba matury, tylko 6 klas. Ale niech tam, zrobię tę maturę, to nigdy nikomu nie zaszkodzi.

— A którą szkołę wybierasz?

— Jakąś najbliższą: najkrócej trwającą, więc w Warszawie, ale gdzie, to jeszcze nie bardzo wiem. Co będę planować zawczasu.

A jednak przyszła chwila, kiedy Ewa musiała się zdecydować. Zamiast spocząć na laurach świeżo zdobytej matury, musiała biegać i zabiegać, aby wywalczyć sobie ulgi w opłacie na kursach, która wynosiła rocznie aż zł. 800. Kierowniczka zapewniała Ewę, że w najbliższym czasie obniży się płace, narazie jednak Ewa uzyskała pewne ulgi i zapisała się do szkoły. Poza wykładami w szkole, miała jeszcze roczną praktykę w ogrodach szkolnych. Po skończeniu szkoły, i, bądźmy szczerzy po dość długim szukaniu, dostała posadę we dworze na wsi za 100 złotych miesięcznie, z mieszkaniem i utrzymaniem. To było maksimum — koleżanki jej dostały 75 zł. i też były zadowolone. Ale Ewa była z nich nie tylko najzdolniejsza, ale i najbardziej zamiłowana. Ewie należał się najlepszy kąsek. Tak zdecydowały wszystkie koleżanki z kursów i żaden cień zazdrości nie mącił Ewie rozkoszy pierwszej pracy.

Zofja Miszewska.

PRZYMUS SERCA

Ojciec i Agnieszka siedzieli w pokoju, gdzie zaczynało się ściemniać, tylko przez okno wpadał ognisty ukos zachodzącego słońca.

— Czy Agnieszka zauważyła, jakie długie dni już mamy?

— Naprawdę, tatku?

— Ależ tak, tak. Spójrz, gdzie teraz słońce się schowa: w tej luce między sokorami.

Czarno ubrana dziewczynka stanęła przy oknie, włosy jej i blada twarz skąpały się w blasku.

— Prawda — rzekła, patrząc daleko, jak wśród nagich gałęzi zsuwał się ku ziemi czerwony, okrągły płat. I westchnęła, niewiadomo, ze smutkiem, czy z ulgą.

— A czy córeczka wie, co to znaczy?

— Nie wiem, tatku.

— Że już skończyliśmy z zimą, że już wiosna za pasem!

Spoglądał na córkę pilnie, przenikliwie, i uśmiechał się. Uśmiech ten mówił: — dziecko najdroższe, powraca wiosna, kwiaty i ciepło, odkwitniesz i ty z niemi, odżyjesz, przebaczysz. —

Agnieszka uchwyciła w lot myśli ojca i zaraz sama poddała się grze.

— Ach, naturalnie — zawołała wesoło. — Co dnia przybywa światła po minutce i raptem robią się z tego duże, jasne godziny. Sam się człowiek nie spostrzegł, kiedy zeszły śniegi i już dereń lada dzień rozkwitnie nad sadzawką.

— Czy może być? — zainteresował się ojciec. — Muszę jutro pójść zobaczyć.

— Pójdziemy, tatku. W południe pójdziemy nad sadzawkę, a jeżeli nogi okażą się grzeczne i nie będą bolały — to jeszcze dalej do ogrodu, gdzie kwitną przylaszczki: uzbieramy, ubierzemy stół na przyjazd Oleczki.

— Więc już są i przylaszczki? Mój Boże, kiedyś to zawsze ja pierwsze pączki przynosiłam z ogrodu.

— Widziałam także dzisiaj pszczołę.

— Trzeba będzie zajrzeć do pasieki. Cóż to nowin w jednym dniu!

Staruszek w haftowanej tureckiej czapce na białych włosach ucieszył się. Ucieszyło go, że zobaczył błysk wesołości na twarzy swej dziewczynki. I to również, że tak razem z Agnieszką odkryli tę wiosnę bliziutką, stojącą tuż za oknem wśród popielatego zmierzchu. I może uwierzył naraz w głębi strudzonego serca, że nadejdzie wiosna taka, jaka się w zimie śni nocami: gorąca, zielona, słoneczna — i radość i siły — młodość wleje w krew starego człowieka. Pełen energji zaczął stukać laską w podłogę i wołać: — hej, hej! a co tam z kolacją?

Agnieszka pomyślała: — Kochane biedactwo. Przecież trzeba trochę uśpić jego czujność dla jego własnego dobra.

Pochyliła się i ucałowała włosy miękkie i srebrne, jak przędziwo.

Nazajutrz, ledwo wrócili ze spaceru — tatko aż pobladł ze zmęczenia i z tego wielkiego powietrza, nadjechała koleżanka Olga, zwana Oleczką, z akcentem na literze o. Obie z Agnieszką skończyły razem gimnazjum, ale Olga była od roku na uniwersytecie na agronomji i przyjechała teraz spędzić ferje wielkanocne w sąsiedztwie u krewnych.

Napełniła cały dom krzykiem, aż trudno było uwierzyć, że jedna młoda kobietka może wnieść ze sobą tyle wrzawy i ruchu. We wszystkich pokojach tupotały jej obcasy, wszystkie lustra zostały wezwane na świadectwo, co się stało z jej ondulacją i jak ją twarz pali od tego diabelskiego wiatru. Nikt nie miał jednak wątpliwości, że Oleczce chodziło o pretekst, aby się swej ładnej buzi raz jeszcze przyjrzeć, niby obliczu najdroższej przyjaciółki.

— Czy zmieniłam się? — pytała Olga.

— O tak. Wyrosłaś. Wydoroślałaś.

— I więcej nic? — pytała z zawodem w głosie.

— Owszem, owszem. Wyładniałaś bardzo.

Ogla odetchnęła: — Tak mówią. No i kiedyż, jak nie teraz? Studentka, proszę państwa.

— Ale łobuz pewno jesteś jeszcze gorszy, niż w szkole.

— Naprawdę, humor mam ciągle szampański. Bo też tak wesoło na uniwerku, że nie masz pojęcia.

— Tak, nie mam pojęcia — powtórzyła przeciągle Agnieszka.

Olgę trochę tknęło: spojrzała uważniej na koleżankę w ciemnej, niemodnej sukni, uczesaną gładziutko, patrzącą wielkiemi, smutnemi oczyma.

— Ty jesteś jeszcze bardziej poważna, niż dawniej. Wiesz, taka jakaś poważna i zarazem dziecinna, jak bywają maleńkie dzieci. Wydaje mi się, że mi więcej przybyło lat, niż tobie, choć krzyczę i śmieję się.

— Och, nie, chyba przeciwnie.

W rozpiętych wiosennych płaszczykach biegły ulicami ogrodu. Było nadspodziewanie ciepło, pokazywały się żółte, delikatne motyle. Jeszcze liści jesiennych nie zdążono wygrabić, a już strzelały z pomiędzy nich liljowe kwiaty przylaszczek, jak wzór na ciemno-złotym dywanie.

Koniec ogrodu tonął w roztajałem zalewisku: jabłonki drżały od wilgoci. Wszędzie stała wiosenna woda, zimna i błękitna, a tak żywa, jak niebo nad tworzącym się z potopu światem. Łamały ją gdzieniegdzie bryzgi słońca, marszczył ją, niby ciężki jedwab — wiatr, szeroki wiatr, który nadciągał szumiący i skrzydlaty, pełen wieści z nieznanego kraju.

— Agnieszko, kiedyż ty się wyrwiesz do nas?

— Jakże mogę? Tatko stary, zatęskni się beze mnie.

— Ty — taka zdolna, taka namiętna do nauki! Szkoda ciebie. Co ty tu robisz?

— Zajmuję się ogrodem, gospodarstwem, czytam tatkowi, czytam sobie, rozmawiamy. Dni mijają i tutaj też.

— Ależ młodość ucieka. Najpiękniejsze lata swoje przesiedzisz w zabitym deskami kącie, a potem co? Kto ci to powróci?

— Oczywiście nikt.



— Trzeba się jednak zastanowić. Trzeba się zdobyć na pewien hart. Dobrze: zrobiłaś ofiarę, podarowałaś ojcu rok swej młodości. Musisz jednak powiedzieć, że to dosyć. Sobie powiedzieć i jemu.

— Nie myśl, że tego nie rozumiem. Ale są rzeczy, które się czyni wbrew rozsądkowi, wbrew prawom życia i własnym interesom. Przymus —.

— Och, serca kobiecego! Bo czy znajdziesz mi chłopca, mężczyznę, któryby przystał na taki argument? Oni umieją żyć. Biorą, co im potrzeba, idą, nie oglądają się na nic i dobrze im z tem.

— I mnie także jest dobrze — przecięła krótko Agnieszka.

— Ha — pomyślała Olga — ostrzegałam, namawiałam. Jeżeli nie chce, to trudno. — I myśli Oleczki, jakgdyby uwolnione z więzów, z największą przyjemnością odbiegły ku własnym przedmiotom, przelatywały lekkie i brzęczące tu i tam, coraz dalej, upojone pędem przez tę strefę bez wahań i bez troski.

Właśnie dlatego, że była taka wesoła i młoda i ładna — ogromnie się podobała ojcu Agnieszki. Siedząc obok niej przy obiedzie, ożywił się bardzo, wyprostował, z dawną galanterją mówił panience żarty i komplementy.

Agnieszka uśmiechała się: — Staruszku, żebyś ty wiedział! Miła Oleczka — to twój wróg. Ale o tem nikt się nie dowie.

— Na uniwersytecie jest wspaniale, bajecznie. To dopiero prawdziwe życie, a cóż tam buda! Kto chce, ten się uczy, kto chce, ten się bawi, a kto mądry — to i jedno i drugie! Teatry, dancingi, sporty. Wszędzie ulgi, ułatwienia, wszystko garnie się do rąk, zaprasza. Młodzież akademicka — to najważniejsza część społeczeństwa.

— Zgoda, jeżeli chodzi o akademiczki — poprawił dwornie staruszek — i jeżeli umieją się śmiać tak prześlicznie, jak pani. Tylko trzeba koniecznie nauczyć Agnieszkę.

Agnieszka była pojętna, pod koniec obiadu błyszczały jej oczy i rumieńce, ocierała łzy ze śmiechu, tak zabawne rzeczy opowiadała Olga. Pytała też bez końca, wszystko chciała wiedzieć, wszystko pochłonąć ze słów, które niosły echo innego życia.

Kiedy Olga pod wieczór zaczęła się gotować do odjazdu: — Odprowadzę cię kawałeczek — rzekła i obydwie siadły na żółtą bryczuszkę.

Na zachodzie spiętrzyły się chmury, podobne do łańcucha górskiego, obrzeżone złotą krawędzią. Tam przedwcześnie zapadło słońce i chłód powiał po ziemi. W przezroczystych fałdach zmroku zdawała się wiosna tulić i kryć, jak szklarka — panna o skrzydłach niebieskich i połyskliwych kryje się przed nocą w sitowiu.

A może jutro powróci znowu śnieg i mróz? Nie, nie, obietnica dźwięczała w powietrzu.

— Umarłabym tutaj zimą — rzekła Olga. — Czy ty wyjeżdżasz gdzie? Widujesz kogo? Nie? Wielki Boże! Przecież jesteśmy już dorosłe i niedługo przyjdzie miłość. Czy pomyślałaś kiedy o tem? Czy może postanowiłaś czekać, aż zjawi się pierwszy lepszy konkurent, pan Błażej z Koziej Wólki i, klęknąwszy na chusteczce od nosa, poprosi cię o rękę?

— Niemądre żarty, Oleczko.

— Widzisz, gniewasz się. Jednak trzeba być przygotowanym, że przyjdzie miłość, że zastuka: „wstań". Cóż ty wtedy? Bo co do mnie, to będę napewno na nogach i pod bronią: zaondulowana, w ładnej sukience! A ty, dzikusko śpiąca?

— Nie śpię — obruszyła się Agnieszka — ale na miłość nie czekam. Mam ją i tak w sercu: do tatka.

— Och, to co innego. Ja się doczekać nie mogę. Pytam ciągle: Kto to? I kiedy? Może teraz na wiosnę? a może dopiero na jesieni, albo za rok?

Dobrze było Agnieszce jechać przy boku koleżanki, słuchać jej miłych bredni w ten wieczór wiosenny, otwarty zielonym kielichem na wszystkie strony świata.

— Ach, jak daleko odjechałam z tobą, Oleczko! Dziękuję ci za wizytę i nie zapominaj o mnie.

Ucałowały się, Agnieszka zeskoczyła z wozu. Maleńkie, faryzeuszowskie westchnienie przemknęło przez Olgę: — dzięki ci, Panie, że to nie ja wiosnę mego życia spędzam u boku starego człowieka samotnie..

Agnieszka wracała do domu. W mroku wiejskiej pustki wszystkie opowieści Olgi, jej dźwięczny śmiech i nieskrępowana młodość — skupiały się w migotliwy obraz, niby próbne zdjęcie ze wspaniałego filmu, który się wyświetla gdzieś daleko i nie dla nas.

W ogromnym tłumie ludzkim, wśród świateł, czyniących wieczorem z ulic wielobarwny teatr, w wyścigu pracy, prób, myśli, zwycięstw i porażek — wyrastało przed nią miasto, niby jedyna we współczesnym świecie arena życia. Ukryte na dnie duszy wybuchły żal i bunt. Głęboko i judowicie ugryzła zraniona miłość własna. Wszystkie koleżanki rozjechały się i żadna nie marnuje czasu. Ona jedna tylko: zdolna, mądra Agnieszka, świetna uczenica — właśnie i tylko ona!

Upłynie rok, dwa, pięć. Coś odejdzie, coś zetleje na popiół.

Lata sędziwego człowieka są podobne do siebie, płyną kroplą po kropli, jak woda. Kawa poranna: a cóż tam dziś słychać na dworze? Czy dobrze spało ze wczorajszej mleczki? Kominek. Gazety. Idziemy spać, już późno. Ubyło dnia dwie, trzy godziny: to jesień. Przybyło dnia dwie, trzy godziny: to wiosna.

Gdy obok żyje młode stworzenie, taksamo napozór upływają i jego dni. Spokój, dostatek, czegóż chcieć więcej? Ale za maską uśmiechu ćmi żal, ale dni padają, jak krople krwi. Nocą coś podrywa na posłaniu, każe patrzeć w ciemność otwartemi z przerażenia oczyma: co robisz ze swoją młodością?

Tak czasami tatko czegoś szuka koło siebie i po kieszeniach: — miałem, napewno miałem — mruczy zcicha — i gdzieś mi się zapodziało. — Tatko! To słowo raptem obudziło w Agnieszce niepokój. Jak matka przypomina sobie, że zostawiła w domu dziecko samo i bez opieki, tak i ona uprzytomniła sobie w tej chwili, że tatko czeka, że nie wie, co się z nią stało.

Przyśpieszyła kroku. Nie było ciemno, świecił na niebie maleńki, srebrny nów, bulgotały żaby po wodach głębokim hukiem. Pod krzyżem na rozstajach zdaleka zobaczyła jakąś ciemną sylwetkę i zdjął ją strach. — Jak można było nawet kija nie wziąć ze sobą — pomyślała z naganą. Ale szła dalej rezolutnie i pogwizdując, jak wiejski chłopak, który idzie do domu. Krzyż na niebie różowem od zachodu kładł czarne kresy, jak w srebrną jaskółkę, w księżyc ubrany.

— Agnieszko! — ktoś zawołał na nią błagalnie.

— Tatku! To tatko? Tutaj? Och, Boże, jakże można!

Stary pan dźwignął się z trudem na kiju i stał cichy, zadyszany. Objęła go Agnieszka, przytuliła swoją twarz młodą i gorącą do jego twarzy — zwiędłej, mokrej od łez.

— Tak daleko od domu! W szczerem polu czekać! Tatku, tatku niedobry! A serce? a nogi?

— Myślałem, że już nie wrócisz, że pociechu uciekłaś od starego ojca z tą śliczną, wesołą panienką. Nie mogłem wytrzymać, chciałem cię znaleźć choćby tam u niej: iść całą noc.

— To ja jestem winna, tatku, wszystkiemu ja jestem winna.

— Dziecko jedyne, ty wiesz, że bez ciebie żyć nie mogę.

Coś Agnieszkę uderzyło. Wszystkie żale, jakich doznawała przed chwilą, zmalały do rozmiaru dziecinnych straszaków, jak maleją urojenia senne, gdy zaczyna się świt. W ciemnej nocy jej żalu wpadło światło dnia: że życie jest wielkie, a to, co przychodzi dzisiaj, to tylko przygotowanie do tego, co przyjdzie jutro. Zanim się dokoła wciąż tych samych słów „ja bez ciebie żyć nie mogę" — zwiążą trudne i zawikłane losy dojrzałej kobiety — trzeba podtrzymać z odwagą i miłością te drżące ręce, które chcą się wesprzeć na jej silnem, młodem ramieniu.

Zofja Kunicka.

NASZE SEMINARJUM

Kochana Jagusiu! Masz kłopoty, jak widzę z planami na przyszłość. Czytaj uważnie dział „Za progiem szkoły", a znajdziesz w nim odpowiedź na pytania, zawarte w Twoim liście. A teraz muszę Ci powiedzieć przyjemną nowinę: masz zdolności literackie. „*Szczerze i prawdziwie*, nie tak, jak piszą w książkach". Jagusiu — w *dobrych* książkach pisze się właśnie *szczerze i prawdziwie*. Tylko prawda — życiowa, prawda artystyczna daje dobrą literaturę. To coś napisała jest napisane dobrze. Niestety, nie możemy tego zamieścić na „Waszej stronicy", gdyż nie możemy w „Świecie dziewcząt" zamieszczać krytyki żadnego typu szkół. Masz dobre określenia: „sacharynowaty głos", „czarna krata"—to bardzo przemawia do wyobraźni czytającego. Opis ostatniego wolnego wieczoru w mieście — to też b. dobra impresja artystyczna. „Wszystko wydawało mi się miłe — nawet Luna Park, którego tak nie lubię". Dobra jest przeprowadzka. „Myślałam, że trzeba wóz meblowy zamówić. Pakuny, pakunki, pakuneczki..." (dobre stopniowanie... Trafna, żywa krytyka „kobiecego" pakowania...). Dobry jest też obraz zamykającej się za Tobą bramy. „A jaka to brama! Olbrzymia, czarna, ciężka...".

Widzisz — to jest obraz impresyjny, nastrojowy. Widzimy tę bramę, przygnębia nas swym ogromem, przygniata czarnością. Brawo, Jagusiu!

„Ostatni całus — i ja, a raczej góra koszów weszłam w podwórze". — Widzę, że masz „zmysł humoru" — to bardzo dobrze. Przypominam sobie zdanie, słyszane z katedry uniwersyteckiej: „Rzadko istnieje prawdziwy talent bez poczucia humoru". — Nie trać kpiarskiego podejścia do niektórych zjawisk Jagusiu. To warunkuje żywość — i prawdę utworów literackich. Mam wrażenie, że przy pracy nabierzesz więcej kultury słowa, poznasz dokładniej technikę pisarską i że staniesz się kiedyś dobrą prozatorką. Jeszcze jedno — obserwuj bacznie życie, ludzi, zjawiska. Miej o tem wszystkiem własny, przemyślany sąd. A potem pomyśl, że to wszystko jest „tematem" — bo tematy literackie tkwią właśnie w życiu. Nie zapominaj też o przyrodzie. Przyroda jest tłem, na którem dzieje się niejeden fragment powieści, czy noweli. Tło to nieraz trzeba zaznaczyć, a to trzeba umieć. Napisz jeszcze coś do nas. Żywo, poprostu. Tak, jak widzisz i jak czujesz. A tymczasem przyjm serdeczne pozdrowienia od

„Świata Dziewcząt".

DOBRA KSIĄŻKA

Zdawało by się, że świat klasyczny, jest już tematem niesłychanie wyświechtanym i ogromnie nudnym. W szkole, długie, zawiłe tłomaczenia tekstów, zatracają dla nas swoje świeże piękno w zetknięciu z gramatyką, słownikiem i długiem nudnem kuciem; w życiu tyle się już widziało osnutych na tym tle marnych filmów, tyle nieciekawych książek przeczytało, że jeszcze jedna książka klasyczna, brr, aż się dusza otrząsa. A jednak, mimo to weźcie do ręki książki *Hanny Malewskiej, p. t. Wiosna grecka*.

Nie będzie to historja kultury i obyczajowości greckiej, prymitywnie ukryta pod byleją fabułą, ani morał, szyty grubym, odrazu w oczy bijącym ściegiem, ale czysta poezja, piękno dawnej Grecji, zaklęte w słowo o przedziwnej harmonji i wdzięku.

W pracy swej obok dużej kultury pisarskiej przejawiła autorka gruntowną znajomość starożytności, nie tylko od strony zewnętrznej obyczajowości i prawdy dziejowej, ale i od strony wewnętrznej, od strony psychiki ludzi, którzy jakże różni byli od dzisiejszych! Młodość Platona, tego najbardziej typowego Greka, opowiedziana na tle subtelnie i pięknie odtworzonego tła epoki, oto treść tej doskonałej książki, którą bardzo polecam, szczególniej Czytelniczkom, mającym wybitnie humanistyczne zainteresowania.

Dla Czytelniczek o zainteresowaniach raczej sportowych i „bohaterskich", bardzo miłą lekturą będzie książka *Burzyńskiego, p. t. „W Karpatach"*. Jest to historja polowań na grubego zwierza, opowiedziana przez rasowego myśliwego, który pojmuje doskonale nietylko technikę myśliwską, ale i jego poezję. Różne typy „misiów", od złych i niesympatycznych, aż do przyjemnych i przyjacielskich przewijają się przez tę książkę, której jedyną wadą, jest zamieszczenie kilku zbyt krwawych scen.

Z. M.

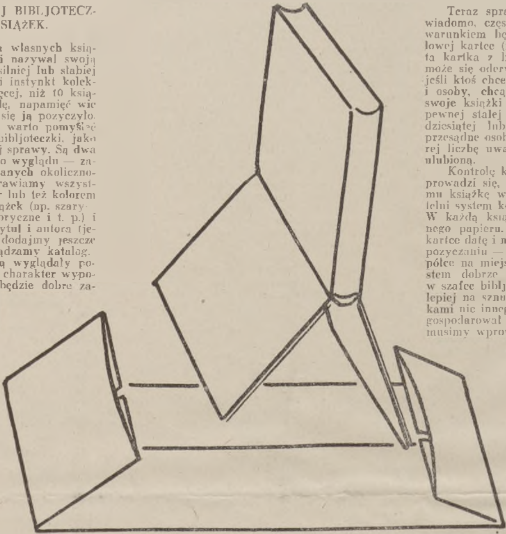
CO MOGĘ ZROBIĆ SAMA

ZORGANIZOWANIE WŁASNEJ BIBLJOTECZKI I UTRZYMANIE KSIĄŻEK.

Każdy kto ma bodaj kilka własnych książek, będzie je trzymał razem i nazywał swoją bibljoteką, w każdym bowiem silniej lub słabiej przemawia instynkt własności i instynkt kolekcjonowania. Jeśli się niema więcej, niż 10 książek, łatwo dać sobie z nimi radę, napamięć wie się zawsze której brak i komu się ją pożyczyło. Gdy jednak ilość jest większa, warto pomyśleć o ich kontroli i o wyglądzie bibljoteczki, jako całości. Zacznijmy od tej drugiej sprawy. Są dwa dobre sposoby uzyskania ładnego wyglądu — zależy, co kto woli i co się w danych okolicznościach lepiej nadaje. Albo oprawiamy wszystkie książki w jednakowy papier lub też kolorem papieru odróżniamy rodzaje książek (np. szary-podróżnicze, granatowy — historyczne i t. p.) i na każdej piszemy albo tylko tytuł i autora (jeśli nie robimy katalogu) albo dodajmy jeszcze na grzbiecie numer, jeśli sporządzamy katalog.

Książki tak oprawione będą wyglądały porządnie, ale całość będzie miała charakter wypożyczalni. Zaletą tego systemu będzie dobre zabezpieczenie okładek od kurzu i słońca, tak, że można książki trzymać nawet na otwartej półce, a także to, że książkę zdjętą z półki można bez straty czasu włożyć do teczki lub dać pożyczającemu.

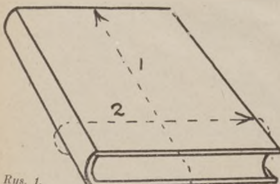
Jeżeli ktoś trzyma książki w oszklonej szafce, a ma je ładnie oprawione i chce, aby te oprawy były widoczne (bardzo to ładnie przez szkło wygląda), może stosować system wkładania ich w specjalnie przygotowane oprawki, za każdym razem, kiedy wyjmuje książki do czytania. Zaznaczam, że ten system dobry jest tylko dla osób porządnych, umiejących dotrzymywać swoich zamierzeń. Inaczej ochronne oprawy zostaną w krainie projektów, a książki zniszczą się prędko. Ochronne okładki wykonujemy w następujący sposób: obmierzamy książkę wokoło przez wysokość okładki (wymiar Nr. 1) — to będzie wymiar szerokości pasa papieru, który utniemy. Następnie mierzymy książkę przez szerokość (wymiar Nr. 2) — długość tę podwajamy i taką oznaczamy długość pasa papieru. Ten wymiar, jeśli arkusz papieru nie starcza, możemy skrócić o 10 — do 12 cm.



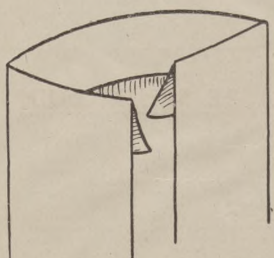
Rys. 3.

Teraz węższe brzegi papieru zakładamy na 5 — 6 cm. Następnie, na tę samą stronę zaginamy długie brzegi papieru, tak, aby szerokość po zagięciu była o 1 cm. większa od wysokości książki. Zagięty poprzednio brzeg zakładamy tak, aby wszystko razem trzymało się, mając formę jakby spłaszczonej rury (rys. 2). Teraz kładziemy książkę na tak złożonym papierze i odmierzamy miejsca, gdzie trzeba zagiąć krótsze boki. Następnie obie okładki książki wsuwamy w utworzone ze złożonego papieru kieszenie (rys. Nr. 3). Okładka taka trzyma się bardzo dobrze bez sklejania, a jeśli papier jest mocny, można ją odpowiednio poszerzyć dla większej książki. Taki typ okładki widziałam w jednej czytelni publicznej, która czytelnikowi wręcza w ten sposób zabezpieczone książki.

Ponieważ wielkości książek są kilku zaledwie typów, wystarczy zorjentować się, ile typów mamy u siebie i przygotować tyle okładek, conajwyżej o 1 lub 2 okładki więcej dla typu, który jest najczęstszy.



Rys. 1.



Rys. 2.

Teraz sprawa kontroli książek, które, jak wiadomo, często giną. Pierwszym zasadniczym warunkiem będzie podpisanie książki na tytułowej kartce (nie na okładce). Ponieważ jednak ta kartka z bardziej zniszczonego egzemplarza może się oderwać i zginąć, lub zostać wydarta jeśli ktoś chce przywłaszczyć książkę, bibljoteki i osoby, chcące specjalnie dokładnie znaczyć swoje książki znaczą prócz tego wewnątrz na pewnej stałej stronicy tekstu, np. setnej, pięćdziesiątej lub jakiejkolwiek dowolnej. Znam przesądne osoby, które znaczyły na stronic, której liczbę uważały za szczęśliwą lub specjalnie ulubioną.

Kontrolę książek wypożyczonych najczęściej prowadzi się, zapisując w zeszycie, kiedy i komu książkę wydano. Widziałam w jednej czytelni system kontroli, który mi się wydał lepszy. W każdą książkę włożona była kartka sztywnego papieru. Oddając książkę, pisało się na kartce datę i numer abonenta (w prywatnym wypożyczaniu — nazwisko) i kartkę stawiało się na półce na miejscu książki. Warunki, aby ten system dobrze funkcjonował, są dwa: 1) żeby w szafce bibljotecznej na stałe był ołówek (najlepiej na sznurku); 2) żeby na półkach z książkami nic innego nie stało i nikt niepożądany nie gospodarował i nie gubił kartek. Na kartkach musimy wprowadzić inne rubryki, niż w wypożyczalni. Będą one uwzględniały: datę wypożyczenia, nazwisko, adres, datę zwrotu.

Prócz obrony własnych książek, trzeba pomyśleć o otoczeniu opieką pożyczonych. Tu radzę zaprowadzić kontrolę w zeszycie, zawierającym następujące rubryki: 1) tytuł i autor; 2) właściciel (nazwisko i adres); 3) datę wypożyczenia; 4) datę zwrotu; 5) uwagi, w których krótko sformułujemy swoje zdanie o książce. Będzie to więc zarazem kontrola własnej lektury.

J. Ładzianka.

KĄCIK HARCERSKI

SAMARYTANIZM.

Każdy człowiek powinien posiadać umiejętność bandażowania. Słowami trudno opisać najprostszy opatrunek. Najkrótsza droga opanowania tej sztuki, to praktyka. Jednak spróbujemy za pomocą słowa i rysunku zapoznać z tą sztuką nasze czytelniczki.

Bandażowanie należy podzielić na opatrunek ręki, nogi, głowy i tułowia. Zaczniemy od bandażowania palców ręki. Umocowujemy bandaż na napięstku, jak na rysunku punkt *a*, potem po górnej części dłoni kierujemy bandaż do nasady tego lub innego palca i pełzająco-obrotowem ruchem bandaża dochodzimy do wierzchołka palca, jak na rysunku w punkcie *b*. Kiedy zostanie zabandażowany palec wracamy po górnej części dłoni do napięstka. Tu paroma pełnemi obrotami bandaża na napięstku umacniamy bandaż i znów idziemy do następnego palca. W taki sposób otrzymujemy rękawiczkę opatrunkową. Po zakończeniu opatrunku należy bandaż umocować na napięstku.



M. K.

DOMY W GAŁĘZIACH

Człowiek eksploatuje zwierzęta domowe i dzikie we wszelki możliwy sposób. Najwięcej cierpią wskutek tego ptaki. nie mogąc wcale się przystosować do nowoczesnego gopsodarstwa. Najgorzej jest z gnieżdżeniem się. Leśnik wycina stare dziuplaste drzewa, rolnik wycina krzewy i zarośla polne. a psotne dzieci niszczą już uwite gniazda. Zdziczałe zaś koty wyłapują całe lęgi piskląt. To postępowanie z ptactwem wywołało rozmnożenie się szkodliwych owadów i straty w roślinności. Przystąpiono więc gwałtownie do ochrony ptaków, a w pierwszym rzędzie do ułatwienia im gnieżdżenia. Ptaki z punktu widzenia systematyki naukowej dzielą się na rzędy. rodziny. rodzaje i gatunki. biologicznie zaś ze sposobów umieszczania swych gniazd można je pogrupować na: 1) dziuplaki z półdziuplakami. 2) gałęziaki i 3) rojaki lub trawiaki.

Aby ptak w danej miejscowości mógł założyć gniazdo, potrzebne są po temu trzy warunki: 1) woda i obfitość pokarmu. 2) kilkumetrowe zaciszne terytorjum zwane gniezdnią i 3) podgnieździe. stanowiące podporę i zarazem schron gniazda. Woda ściąga ptaki na stałe do wielu miejscowości bezwodnych. Na morgową powierzchnię sadu wystarcza pojnik wykonany z siatki drucianej oblepionej cementem o wymiarach 30 cm. dług.. 20 cm. szer. i tylko 4 cm. głębokości. Ścianki od wewnątrz pozostawia się nierówne. umożliwiające wyjście mokremu ptaszkowi po kąpieli. Wodę zmienia się co 3 dni i naczynie myje wiechciem.



Domki dla ptaków, zbudowane przez polskich skautów w Buffallo w Stanach Zjedn. A.P.



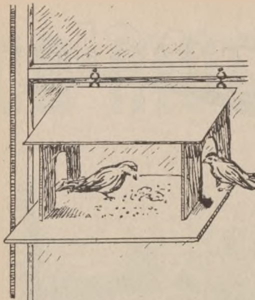


Zajmijmy się teraz kolejno każdą grupą biologiczną. Grupa dziuplaków dzieli się na dwie podgrupy: jedną wykuwającą otwory w pniach na gniazda i drugą wykorzystującą opuszczone dziuple. Ze sztucznych gniazd przez ptaki tej grupy najchętniej są zajmowane dziuple Berlepscha. borowane w pniakach; wobec jednak trudności ich wykonania stosują powszechnie odpowiednio zbite skrzynki. Skrzynki te mają przednią ścianę wyjmowaną, co ułatwia czyszczenie ich raz do roku na jesieni i wysypanie świeżemi trocinami. Dobrze zrobiona skrzynka musi mieć dno wewnątrz obite trójkanciastą listewką i na wszystkich czterech ścianach posiadać po dwie listewki czworokanciaste. tak zwane schody. Średnice otworów są ściśle przystosowane do pewnych gatunków ptaków. Gniazda ze świeżych desek prędko paczą się i swą barwą odstraszają początkowo bojaźliwsze ptaki. Dobrze jest więc przy cięciu desek w przekroje ich poprzeczne napuścić pokostu, po zbiciu zaś skrzynkę pomalować olejno na szaro - zieloną zewnątrz i świeżą farbę lekko posypać suchą ziemią. Tak przygotowana skrzynka po wywietrzeniu farby pociąga ptaki swym niepozornym wyglądem. Skrzynki zawiesza się na pniach lub słupach otworem na południowy wschód. Położenie ich winno być pionowe lub lekko naprzód pochylone. a nigdy zaś przeciwnie.

Typ sikornia w. zajmują: sikorki. krętogłów. kowalik. pełzacz i wróbel mazurek. Zawiesza się je na wysokości 2 -- 3 mtr. w odległościach 40 kroków pomiędzy niemi.

Typ szpakownia zajmują szpaki. a niekiedy jeżyki. Zawiesza się 4 lub 5 sztuk na jednem drzewie na wysokości 3 — 6 metrów.

Typ duk zajmują: dudek. kraska. gołąb sośniak i pustułka. Po dwie sztuki zawieszać powyżej 6 metrów.



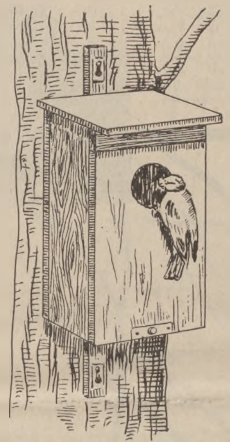
Grupa biologiczna gałęziaków obejmuje wszystkie ptaki gnieżdżące się na drzewach. Gniazda ich są umieszczone na tak zw. podgnieździach, to jest rozwidleniach czterech lub trzech gałęzi. Takie podgnieździa otrzymuje się przez cięcie krzewów na żywopłoty lub przez wiązanie gałęzi grubych na palec po trzy lub cztery razem.

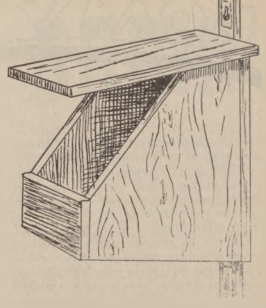
Grupa biologiczna trawiaków obejmumuje ptaki gnieżdżące się na ziemi, piasku, w trawie i w zbożu. Tym nieszczęśliwym ptakom możemy tak tylko pomóc, iż po wyśledzeniu gniazda ich, wokoło tegoż zostawiamy nieskoszoną przestrzeń wielkości 4 mtr. kwadratowych do czasu wylotu piskląt.

W półdziuplach zawieszonych kolo altan, domów i ścian zabudowań gospodarskich gnieżdżą się muchołówki, pliszki i rudziki.

Modele dziupli i półdziupli znajdują się w Tow. Opieki n. Zw. przy ul. Wiejskiej nr. 18.

Czytelniczki nasze zamieszkałe w Warszawie mogą więc je tam obejrzeć, a pochodzące z innych części Polski z łatwością otrzymają informacje listowne na zapytania dotyczące szczegółów budowy i rozmieszczenia podanych tu na rysunkach gniazd i karmika. Ogrody i ogródki podmiejskie, gaiki i zarośla przydrożne z łatwością mogą stać się miejscami ptasich schronów. A nasi bracia, koledzy i kuzyni z chęcią pomogą w tej miłej stolarszczyźnie, zwłaszcza na wiosnę, kiedy ma się rozpęd do pracy na świeżem powietrzu — i w dodatku w tak miłym celu.





Pomyślcie przytem, jak przyjemnie będzie (choćby dopiero w następnym roku) obserwować „nasze gniazdo" zaludniające się ptasią rodziną i polować na nie... nie ze strzelbą, ale z aparatem fotograficznym, co pociąga za sobą niesłychanie żywe ale w znacznie lepszym gatunku emocje myśliwskie.

O takiem polowaniu z aparatem podamy niedługo osobny wyczerpujący artykuł.

Janusz Wirg. Biegański.

OD ADMINISTRACJI

Przypominamy naszym prenumeratorkom, że uniknąć przerwy w przysyłaniu pisma można przez opłacanie prenumeraty tylko z g ó r y, przekazem pocztowym lub na konto P. K. O. Nr. 18.800.

Blankietów P. K. O., na które należy wpisać powyższy numer dostarczy każdy urząd pocztowy.

Administracja.

Ogrody wiszące

Kto kocha rośliny, pragnie je również własnoręcznie pielęgnować, by doprowadzić je do kwiatu i owocu.

W mieście niewiele osób cieszyć się może własnym ogródkiem, lecz możemy urządzić go sobie w skrzynce na oknie, lub balkonie.

Najłatwiej obsadzić skrzynki, kupując rozsadę wprost u dobrego, zawodowego ogrodnika widzimy bowiem wówczas czy roślina jest silna i zdrowa, a nawet możemy poznać, jaką barwę będzie miał kwiat.

A jednak bez porównania większą przyjemność sprawi nam roślinka wyhodowana z nasienia, wsadzonego własną ręką do odpowiednio przygotowanej ziemi, okrywana starannie przed wpływem zimna, lub gwałtownego słońca, jednem słowem staje się ona niejako naszą rodzinką. Każda roślina jest bardzo wdzięczna za staranie koło niej, można ją również troskliwością zamęczyć.

Druga połowa marca i początek kwietnia, to najodpowiedniejsza pora do rozpoczęcia wysiewu nasion.

Najlepsze do wysiewu są skrzynki z wypalonej gliny z otworami w dnie, lecz trudno je dostać w handlu. Mogą być również skrzynki drewniane, szerokie na 25 cm., głębokie na 20 cm., długość zaś zależna od miejsca, gdzie mają stać przez całe lato. Praktyczniej jest jednak mieć skrzynki krótsze, gdyż łatwiej je w pierwszych początkach hodowli przenosić i ochraniać. Grubość desek na skrzynki powinna być $2\frac{1}{2}$ cm., a w dnie otwory, co 10 cm.

Musimy mieć również odpowiednio przycięte szyby, by można po wysianiu nasion nakryć skrzynkę w ten sposób, jak to widzimy w inspektach.

Do upiększenia balkonów i okien nadają się przedewszystkiem kwiaty pnące się w górę na kratach lub sznurkach, umocowanych przy ścianie. Szybko rosną i okrywają ściany wszelkie fasole i groszki pachnące, nasturcja wielkokwiatowa, o pięknych żółtych kwiatach w kilku odcieniach.

Bardzo ozdobna jest również nasturcja *peregrina*, zwana po polsku nasturcją-włóczęgą, gdyż rozrasta się szybko i chwyta się każdej podpory.

Wreszcie winna latorośl, *cobea - scandens* z pięknemi szaro-fioletowemi kwiatami i *clematis*.

Do skrzynek na okna miłe są bratki, fiołki, petunje i pelargonje.

Wysiew: do skrzynek z otworami w dnie dajemy na spód skorupy ze starych doniczek, na to warstwę ziemi kompostowej i lekko ją ugniatamy, dalej nakładamy ziemię inspektową na pół z piaskiem. Nasiona drobne, jak bratki, petunie, lewkonje — siejemy dosyć rzadko i przykrywamy piaskiem na 2 grubości ziarenek. Po chwili zraszamy wodą przestałą z rozpylacza i nakrywamy szybą.

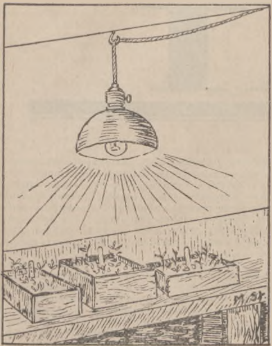
Codzień rozpylamy wodę, by szerokim strumieniem nie ugniatać roślinek w ziemię. Podczas kiełkowania należy strzec wysiewki od chłodu, a gdy ukażą się już zielone źdźbła można zacząć naświetlanie.

Ustawiamy więc skrzynki na stoliku w ten sposób, by można je było wieczorem przysunąć pod wiszącą lampę elektryczną, przy której pracujemy wieczorem. W ten sposób przedłużamy dzień zimowy, ułatwiając roślinom początkową



Ozdobne balkony przy ul. Topolowej w Warszawie.

(Fot. Marja Stefkowa)



wegetację. Przed 50 laty rozpoczęto w Londynie naświetlanie roślin, co dało impuls do dalszych badań rosyjskiemu uczonemu Maksimowi w Leningradzie, dalej czyniono to w instytucie fizjologji roślin w Wiedniu pod kierunkiem prof. Dr. Gustawa Kleina i wszystkie prace dały doskonały rezultat.

Dla roślin strączkowych mamy znów inny sposób wznowienia wegetacji. Ażeby nakazać roślince tworzenie zwięzłych korzeni, a bujnych pędów, bierzemy skorupki z użytych jaj, wybijamy gwoździem dziurkę w dnie, wsypujemy lekką ziemię z piaskiem, wkładamy w środek ziarnko groszku lub powoju, przysypujemy odrobiną ziemi, wreszcie ustawiamy te skorupki w skrzynkach z ziemią i podlewamy. Po upływie tygodnia ziarnko puści korzonki, które dusić się będą w ciasnej skorupie wapiennej. Lecz w zamian siła żywotna wyciągnie się w górę, tworząc silniejszą łodygę i kwiaty. Z czasem rozłoży się skorupka z jaja, użyźniając ziemię w skrzynce i dając pokarm rosnącym w niej kwiatom.

Gdy już rośliny wysiane do małych skrzynek wyrosną do wysokości 4 cm. i mają trzy do czterech silnych liści, należy przesadzić je do właściwych skrzynek, podlać ostrożnie, ocienić w pierwszym dniu przed słońcem, a wreszcie ustawić na oknie lub balkonie i cieszyć się niemi przez całe lato.

Marja Stefkowa.





GASTON CH. RICHARD

CZAR SKRZYDEŁ

TŁOM. STEFANJA HEYMANOWA

(dalszy ciąg).

Weszła za Magdaleną do salonu.

Zastała tam Durand - Gardela, w towarzystwie syna i drugiego młodego człowieka, którego powierzchowność stanowiła wybitny kontrast z powierzchownością Piotra.

Piotr był blondynem, włosy jego miały kolor dojrzałej pszenicy, a biała cera i niebieskie oczy mówiły wyraźnie o jego skandynawskich przodkach. Jego przyjaciel był ciemny jak cygan, wzrostu średniego, dobrze zbudowany, miał twarz o cerze matowej, dobrze zarysowany orli nos, oczy o białkach aż niebieskich i ciemnych źrenicach. Choć był starannie wygolony, zbliska widać było, na brodzie i policzkach, tony niebieskie, zdradzające żywotność zarostu.

Mówił, przeciągając trochę, z wybitnym akcentem prowansalskim.

— Pan Fernand Servieu du Mas d'Autour, panna Janina Bel du Colombel — rzekł inżynier, dokonywując ceremonji przedstawienia.

— Szczęśliwy jestem z poznania pani, a jeszcze szczęśliwszy, że wraz z Piotrem, mamy otworzyć przed Nią szlaki dróg niebieskich — rzekł Ferdynand, skłoniwszy się. — Pani ma tupet i dowiodła pani tego! Jeżeli się nie mylę — a pewny jestem, że się nie mylę — posiada pani wszystko, ażeby stać się ptakiem wysokich lotów — dokończył, pokazując w uśmiechu piękne zęby.

— Podano do stołu — oznajmił lokaj na progu salonu.

— Piotrze — odezwał się Ferdynand — podaj ramię twej matce... Szefie, niech pan poprowadzi swą córkę. Ja uzurpuję sobie prawo poprowadzenia do stołu mojej pięknej uczennicy...

Janka, trochę oszołomiona żartobliwo - familjarnym tonem Fernanda, przyjęła jednak ofiarowane sobie ramię...

Ale — było to tylko przelotne wrażenie — zdawało jej się, że czoło Piotra Durand - Gardel zachmurzyło się, podczas, gdy czyste jasne oczy Magdaleny pociemniały... Trwało to może chwilę, może wieczność...

VI. NA LOTNISKU.

Już od długich lat, serdeczna przyjaźń łączyła Fernanda Servieu du Mas d'Autour z Piotrem Durand - Gardel. Spotkali się na ławie liceum, obaj wstąpili do Szkoły Marynarki, „suszyli" sobie głowy nad temi samemi zadaniami, wreszcie odnosili triumfy jako prymusi; obaj też wykazywali te same cechy — energję, zimną krew, odwagę, a nawet brawurę, albowiem współzawodnictwo kazało im nieraz zapominać o elementarnych przepisach ostrożności.

Przezwano ich, jednego Emirem, drugiego Wikingiem, i przezwiska te doskonale były do nich dopasowane.

Piotr, o budowie atlety, posiadał spokój, opanowanie, zaciętość człowieka Północy. Fernand, trochę niższy, ale wysmukły, o proporcjach harmonijnych, wytwornych, podlegał napadom entuzjazmu, wściekłości i gniewu, zdradzającym temperament prawdziwego południowca.

Te kontrasty, które powinnyby raczej dzielić dwuch młodzieńców, łączyły ich tak nierozerwalnie, że nie można było szukać zwady z jednym, bez tego, ażeby nie mieć do czynienia z drugim. Właśnie wtedy, kiedy obaj otrzymali pierwszą naszywkę, wybuchła wojna... Jednocześnie, i to po długim namyśle, prosili o przeniesienie do sekcji lotniczej marynarki. Klemens Durand - Gardel, który do tragicznej chwili w historji, kiedy Francja została zmuszona do obrony swego honoru i wolności, uparcie przeciwstawiał się temu, ażeby syn jego poświęcił się karjerze, w której on sam jako inżynier, wynalazca, konstruktor i lotnik, doznał oszałamiających triumfów i zdobył sławę — teraz sam wtajemniczał ich obu w arkana sztuki lotni-[illegible]

Przydzieleni do tej samej eskadry, zdobyli chrzest wojskowy na morzu Północnem. Po wojnie, Durand - Gardel zaproponował im, ażeby pracowali z nim razem nad rozwinięciem nawigacji powietrznej. Fernand zgodził się natychmiast, ale Piotr kochał swój piękny zawód marynarza i wahał się, czy ma go porzucić. Żądał czasu do namysłu i pozostał jeszcze przez dwa lata na pokładzie kontrtorpedowca, poczem, na naleganie ojca, po wspaniałej wyprawie na Wschód, poprosił o urlop, właśnie wtedy, gdy poświęcenie Janki uratowało od ruiny zakłady w Nantes.

Dwaj przyjaciele z radością spotkali się znowu. Zdawało się, że przyjaźń ich wysubtelniona przez rozłąkę, stała się głębszą, bardziej braterską.

Fernand był ulubieńcem Klemensa Durand-Gardel. Jego wesołość i temperament wprowadzały do domu radosny nastrój. Magdalenę traktował jak ukochaną siostrę, sprawiał jej miłe niespodzianki, obsypywał podarkami, podczas nieobecności brata, towarzyszył jej na spacery i do teatru...

Magdalena była naturą nieśmiałą, trochę chłodną: nie traciła czasu na błahostki i nie trwoniła swych uczuć na przyjaźnie szybko nawiązywane i zrywane. Wrażliwa, o wiele więcej niż można było przypuszczać, potrafiła kochać tego, kto ją kochał i niczyja przyjaźń nie była pewniejsza od przyjaźni Magdaleny.

Bardzo młoda — miała zaledwie osiemnaście lat, w chwili, gdy Janka weszła w ich życie — od niedawna zaczęła się domyślać, że przyjaźń, którą ofiarowywała Fernandowi, ustępowała powoli miejsca innemu uczuciu, głębszemu i czulszemu. W tej duszy, skrytej namiętnej, miłość zapuszczała korzenie głęboko, wytrwale: to też tkwiły mocno i nie można ich było wyrwać, jak korzeni dębu, który wyrósł w rozpadlinie skały.

Tego ranka, Janka miała swą pierwszą oficjalną lekcję.

W oczekiwaniu aż uczenica przebierze się w kostjum lotniczy, w przydzielonej jej kabinie, na lotnisku Ducler - Trianon, dwaj przyjaciele przechadzali się, paląc papierosy.

Mieli kolejno, na szkolnym samolocie o dwuch sterach, towarzyszyć jej w przestworze, czuwać nad jej ruchami, notować błędy, jeżeli je zrobi, poprawiać je, i tego samego wieczoru dzielić się swemi uwagami z Klemensem Durand - Gardel, który nie chcąc krępować dziewczęcia, zrezygnował z asysty, przy jej pierwszych próbach.

— Oto jest! — rzekł nagle Piotr.

Zwrócił się do mechanika, który z angielskim kluczem w jednej ręce, a oliwiarką w drugiej, kręcił się wokół samolotu, obok którego stali.

— Gotowe, Dicku? — spytał.

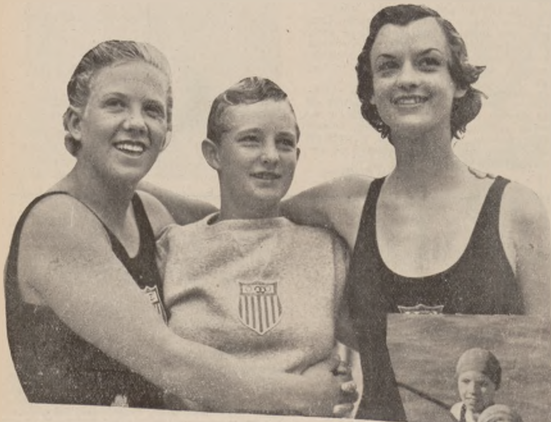
Mechanik — mały ale muskularny, odwrócił swą zasmoloną twarz, o spłaszczonym nosie, o ustach szerokich z wyrazem jednocześnie dobrym i brutalnym w małych, bystrych oczkach.

— Tak, proszę pana. A że powietrze jest dobre dzisiaj, nie bardzo zimne, więc będzie gazowało, wiele pan chce. Pod warunkiem oczywiście, że pan będzie kierował albo pan Fernand.

— Dlaczego to mówisz? — spytał Piotr.

(d. c. n.).

SPORT





NA WODZIE

Już błękit przedziera się przez chmury, już dnie są dłuższe, słońce weselsze — krok za krokiem zbliża się wiosna. Jeszcze miesiąc i do głowy strzeli bzik, wesoły wiosenny bzik. Ach, polecieć! Wyrwać się ze szkoły, z tej widnej klasy, pełnej odblasku słońca i przymurowanych do miejsca zaklęciem — wiedzy dziewczynek. Wyrwać się i uciec z tych murów na swobodę, na rozkosze słońca i ruchu! W południe, podczas lekcji, jak na złość marzy się Gdynia; za oknem faluje morze; tak mocno się czuje w tej chwili słony, ostry wiew i widzi wyobraźnią koronki pian, opływające gładki piasek. I bęc! Dwója za nieuwagę: — Marysia znowu patrzy w okno zamiast na tablicę! — To nic, ale za to była chwilka, kiedy zielone fale objęły Marysię chłodnym uściskiem. Ach, pływać, pławić się w słońcu, w przezroczystej wodzie! Jeszcze parę tygodni i zanim nadejdą wakacje, można czasem popołudniu, a przedewszystkiem w niedzielę, wyrwać się nad Wisłę.

Na międzyszkolnej przystani jest duży tabor łodzi. Zgrabne hamburki i marzenie marzeń smukłe i śmigłe „skiffy". Ho, ho! Zanim to się na takiej rasowej łodzi pojedzie, ileż trenningów pojedyńczych i w osadzie!

Po kilku tygodniach racjonalnej pracy pod kierunkiem surowego sternika, łódź mknie gładko, bez plusku, mocnemi pociągnięciami wioseł: mięśnie czują radosną sprawność, płuca wdychają rzeźwe, wiślane powietrze. Sternik rzuca raz po raz komendę: Hop a z krzyżyka! Znaczy to, że wprzód pracuje krzyż, a następnie nogi i ręce. Skomplikowane i tajemnicze są arkana wioślarstwa. Ale kto je posiędzie, temu jazda łodzią wyda się rozkoszną igraszką. Z początku wysiłek jest duży: czoło rosi się kropelkami potu, krzyż omdlewa. Nieprawidłowe pociągnięcie [illegible] wioseł (jak wiadomo, ciągnie się tylko palcami) powoduje często przykry skurcz mięśni. Ale dzień po dniu ruchy stają się bardziej harmonijne, zrzut wiosła miękciejszy i szybszy (jak to mówią fachowcy: „koci"), z wodą pociąga się mocno i z energją, a pod wodę łagodnie, wolno, dla zluźnienia mięśni po wysiłku. Wszystkie ruchy wioślarza muszą być celowe i dawać maximum rezultatu przy minimum pracy.

Ale za to radość jest pełna! W południe woda skrzy się talarkami słońca i wchłania radosny błękit nieba. Wieczorem mija się nadbrzeżne budynki, kluby, plaże i wikliny w łunach zachodu, w intensywnem nasileniu barw, grających na niebie i wodzie istną feerją blasków. Płynie się niby we wnętrzu olbrzymiej, różowej muszli.

Cichy plusk fali, żagielki białe i rude, smukłe kajaki, śmiech, piosenka, na dłuższej wycieczce znika zwolna panorama domów uduszonych w mgłach dymu. Wyłaniają się spokojne, płaskie brzegi nadwiślańskiego pejzażu.

Postój, odpoczynek oraz krótki posiłek, ach, jakże smakowity bez względu na jego wartość kulinarną! No i do tego złoty, łobuzerski humor. Wszystko takie śmieszne, radosne i wesołe, jakby na wielkie święto, a nic się przecież nadzwyczajnego [illegible].

To cieszy się zdrowe, sprawne ciało, mocne mięśnie i gładka od słońca i powietrza skóra.

Oto ta nowa, szkolna osada wyrasta na niebezpieczną rywalkę rutynowanych wioślarek. Młodym sportsmenkom marzą się laury regat, ba, wyjazdy zagranicę (jak ta czwórka mistrzowska w zeszłym roku w Anglji). Ba, ba! Ale ileż przedtem trenningów, ile to wymaga woli i wytrwałości! I nie każda ma na to warunki, bowiem i tutaj, jak w każdej dziedzinie, żeby wybić się, potrzeba talentu.

Ale i tak międzyszkolne regaty czy wprost jazda sama dla siebie „po amatorsku" to „szalona frajda".



...ocieka mo[illegible] skóra i lśni z[illegible]tem w słoń[illegible]

Kogo woda raz zaczarowała, ten będzie wiecznym jej niewolnikiem. Wioślarstwo i pływanie to radość, to zdrowie i tężyzna psychiczna. Bo sport kształci nietylko ciało, ale i charakter.

Nad wodą wszystko „fiume"! Niech sobie siedzą gdzieś w murach przyczajone troski i smutki, niech sobie gnębią tych, co się dobrowolnie wyrzekli rozkoszy wodnych przez tchórzostwo, czy lenistwo.

Tu nad Wisłą, nad tą niby szarą, a dla „wodniaka" bajecznie kolorową rzeką, unoszą się wysoko w przezroczem powietrzu jasne obłoki, serce tętni życiem, a całe ciało rozkoszuje się naprzemian radosnym, pełnym wysiłkiem sportu, lub słodkiem lenistwem plażowania. Piasek czy twarde deski — wszystko jedno! Dziś kropi deszcz, zato woda cieplejsza, jutro cisza taka, że świat omdlewa z gorąca w stężałem powietrzu, pojutrze hula wiatr, przenika przez grube swetry i „pulowery", smaga skórę, smaga wodę i szarpie żagle, płata figle i psikusy, jak młody, rozbrykany psiak.

I codzień jest inaczej i codzień jest uroczo.

Skok z trampoliny, z początku zwłaszcza śmieszny i chybiony czasem przynosi siniaka lub mocne praśnięcie w brzuszek. Jeśli udany — budzi zazdrość, cieszy oko piękną, stylową linją i wzbudza uznanie dla talentu.

Skok. Ach! Chwilka nieuzasadnionego strachu. Ta piszczy i namyśla się sto razy, inna zaciśnie zęby i nie pokaże wrażenia, ta się zniechęci, tamta wytrwa i wypracuje piękny styl. Zato jak przyjemnie być mistrzynią klubu!

Startowy, delfin, efektowne salto, trudna śruba i t. d. Moment emocji, sprężyste odbicie, szybki lot i naraz szum i chłód, woda bulgocze, wyrzuca natręta.

Ocieka mokra skóra, zaciśnięta zimnem i lśni w słońcu złotawemi tonami.

A teraz *crawl*, modny, piękny styl, podpatrzony u długonogich Australijczyków. Miękkie, mięciuchne ruchy rąk i szybkie, drobne „battement" (nogi oczywiście pracują już od biodra), twarz wynurza się tylko po wdech. Elastyczne, luźne mięśnie pracują bez siły, ciało niesione tym ruchem mknie poprzez wodę szybko, o wiele szybciej, niż klasyczną „żabką". A i styl klasyczny ma swoje zalety. Jest równie piękny, a zato mniej męczący na dłuższe dystanse. Najlepiej jednak znać i przyswoić sobie różne style, wówczas zmieniając sposoby można płynąć o wiele dłużej i bez wysiłku. Systemów jest dużo, co kto lubi: crawl, żabka, klasyczny na wznak, back-crawl, over-arm (bokiem) i wiele innych.

Tych, które pływają, nie potrzeba zachęcać: same one, zakochane w tym wspaniałym sporcie doskonalą swój styl i marzą o laurach sportowych. Te, które pływać nie umieją, niech tylko zaczną, a rozmiłują się w tem napewno i nie będą w stanie obejść się bez wody.

Na krytych pływalniach Warszawy (Akademicki Dom, Yacht-klub Ofic., Kasa Chorych), fachowi instruktorzy prowadzą kursy dla początkujących. Wystarczy 10—12 lekcyj, aby się nauczyć, a resztę zrobi Wisła i morze.

Zdala, przed oczyma ambitnych majaczą ideały, miss Madison, mistrzyni olimpijska, szybsza od najszybszych naszych pływaków (100 m. — 1 . 06,6), piękna miss Holm, „record-woman" w pływaniu nawznak (100 m. — 1 : 18.3), zdumiewająco wytrzymała Ederle, która przepłynęła kanał La Manche (14 g. 32 m.) w roku 1926.

Nie są to jednak, mimo wszystko, ideały nieosiągalne, warunkiem jednak wytrwała praca, racjonalny tryb życia, dużo ambicji, no i rzecz zasadnicza — talent.

Jeśli mamy w łyżwiarstwie Nehringową, w lekkiej atletyce Weisównę i Konopacką, w wioślarstwie mistrzowską czwórkę Europy z Klubu Wioślarek, czemużby której z was nie miał przypaść w udziale zaszczyt reprezentowania barw Polski przed światem?

Byle już prędzej przyszła wiosna, a z nią słońce i wszystkie rozkosze sportów wodnych!

Irena Pamska.

Siewy.

Z CYKLU: „Z WIERZEŃ I OBRZĘDÓW POLSKI"

Dla kaleki, żebraka daje ziemia nieboga,
Dla sieroty, dla ptaka, przyjaciela i wroga,
Byle posiać na dobie... A no siwy, a k'sobie!
(Lenartowicz)

Pozwólcie mi zacząć poezją, bowiem to, o czem piszę, jest splotem starych, minionych wierzeń i praktyk, które ongiś miały swoje uzasadnienie, a wśród nich wije się nitka poezji ludowej, wyrosłej na przeżyciach, związanych z odwiecznym przebywaniem człowieka z przyrodą.

Są dwa momenty w życiu rolnika, których pomyślny lub zły przebieg przesądza całoroczne jego powodzenie. Pierwsze to siewy, drugie — żniwa. Dziś, gdy pracę rąk ludzkich zastąpiła maszyna, a tradycję niszczy kultura miejska, zwyczaje, wierzenia i praktyki, związane z temi uroczystościami, zanikają bardzo szybko. Pomimo to, każdemu, kto sercem obserwował chwilę siewu, komu udało się ujrzeć jeszcze siewcę, przepasanego białą płachtą, który w poważnym skupieniu, z milczeniem na ustach, a Bogiem w sercu, szeroką garścią ciska ziarno, ten odczuje i zrozumie, że stoi nietylko wobec jednego z zajęć rolniczych, lecz ma do czynienia z obrzędem, odgrywającym w życiu gospodarza wielką rolę.

Aby siew miał przebieg jaknajszczęśliwszy i w rezultacie sprowadził urodzaje i zamożność gospodarzowi, trzeba dobrze wybrać ziarno, porę i dzień rozpoczęcia pracy i osobę siewcy.

Ziarno, którego pierwsza i ostatnia garść ma właściwe obrzędowe znaczenie, biorą do siewu z wianka dożynkowego, z wianków święconych na Matkę Boską Zielną, lub na Przemienienie Pańskie.

Na Polesiu święcą w tym celu ostatnie kłosy ścięte z pola. Czasem biorą ziarno z t. zw. „gospodarza", pierwszego snopa, ściętego podczas żniw.

Ziarno z wianka wigilijnego, lub wytrząśnięte ze słomy i siana, leżących pod obrusem w czasie wieczerzy, też bywa cenionym dodatkiem, dorzucanym do ziarna, przeznaczonego na rolę.

Na tych przecież garstkach spoczywa błogosławieństwo Boże, muszą więc one być „szczęśliwe".

Tem samem tłumaczy się zwyczaj święcenia ziarna. „Panie Boże, zaródź i dla Żydów, i dla poganów, i dla biednych, co nic nie mają", mówi gospodarz, żegnając ziarno i kropiąc je święconą wodą.

Górale, idąc na Pasterkę, niosą za pazuchą potrosze każdego zboża, a po świętach dodają go do siewu, święcą go również w Trzech Króli, Wielką Sobotę i na Świętego Szczepana.

Dla zapewnienia urodzaju dosypują w wielu okolicach piasek z Częstochowy, bazie z kwietniowej niedzieli, sól święconą i t. p.

Na Polesiu panuje przekonanie, że pszenica najlepiej się uda, jeśli do siewu choć garść zostaje komuś skradziona. Zresztą wierzenie to jest dość rozpowszechnione i na taką „kradzież" patrzą gospodarze przez palce.

Wybranie odpowiedniej pory do rozpoczęcia siewu, jest rzeczą wielkiej wagi. Dniami, najczęściej wybieranemi, są środa lub sobota. Wystrzegają się natomiast 13-go dnia w miesiącu, lub tego dnia w tygodniu, w którym przypada wigilja Bożego Narodzenia. W dniu pogrzebu kogoś z domowników szkodliwe jest nawet dotykanie ziarna, nie mówiąc już o rozpoczynaniu jakiejkolwiek pracy gospodarczej. Ziarno bowiem wtedy „zamiera".

Siewcą najczęściej bywał sam gospodarz. Na większych folwarkach dziedzic rzucał pierwszą garść na krzyż, a później oddawał pracę siewcy.

Do siewu gospodarz stroi się czysto, często w tę samą koszulę, którą miał w wigilję Bożego Narodzenia, przewiązują się białą płachtą, w którą zsypuje ziarno. Rzucając je musi milczeć, nie odpowiadać na żadne pytania, nie oglądać się (szczególnie przy sianiu prosa), gdyż w przeciwnym razie zboże będzie narażone na niszczenie przez wróble.

Wyjść w pole trzeba „do dnia", zanim ktokolwiek wyjdzie, bo gdy sąsiad wcześniej zasieje zboże na krzyż, może zaszkodzić. W Wileńszczyźnie panuje zwyczaj, że gospodarz nie kąpie się, ani nie zmienia bielizny, póki nie zasieje żyta. Kobiety również nie piorą wtedy bielizny.

W niektórych okolicach Rusi zabierają do siewu mały bochenek z ciasta wielkanocnego i ogarek świecy, która się paliła przy wieczerzy wigilijnej. Gdy ziarno wzejdzie gospodarz zapala świecę i obchodzi grzędy, aby zboże wyrosło.

Na Wołyniu gospodarz zabiera ze sobą obrus ze stołu i chleb, który przed zaczęciem siewu składa na bróździe.

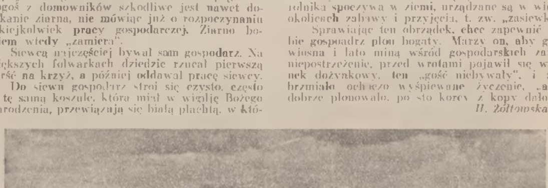
Aby sprowadzić deszcz, dziewczęta zalewają wodą oczy parobkom, idącym siać, lub oblewają gospodarza.

Na Podlasiu przy pierwszym siewie „obsiewają" dziedzica, mówiąc: „Obsiewam pana, ni srebrem, ni złotem, tylko darem Bożym. I życzę panu długiego życia, i kłosy pod niebiosy, i słomy do poszycia".

Gdy siewy ukończone, gdy cała nadzieja rolnika spoczywa w ziemi, urządzane są w wielu okolicach zabawy i przyjęcia, t. zw. „zasiewki".

Sprawiając ten obrządek, chce zapewnić sobie gospodarz plon bogaty. Marzy on, aby gdy wiosna i lato miną wśród gospodarskich zajęć niepostrzeżenie, przed wrotami pojawił się wianek dożynkowy, ten „gość niebywały", i zabrzmiało ochoczo wyśpiewane życzenie, „aby dobrze plonowało, po sto korcy z kopy dało"...

H. Żółtowska.



Photoplat.

MODY

ŚWIĄTECZNE SUKIENKI

Płaszczyk z wełny, stebnowany na mankietach i klapach. Kieszenie nakładane.

Bluzeczka z płótna jedwabnego ze skręconym krawatem, kolor pastelowy. Spódniczka wełniana z wysokim gorsecikiem i kontrafałdą z przodu.

Suknia z wełenki granatowej. Krótkie bolerko włożone na bluzeczkę w paski. Spódniczka z kieszeniami.

Suknia płócienna z dwurzędową kamizelką. Bluzka z białej markizety. Spódniczka w fałdy, u góry kieszenie.

Kostjum z płótna jedwabnego z plisowaną spódniczką i bolerkiem. Dwa rzędy guzików i barwny szalik.





GWIAZDY MÓWIĄ...

CO SĄDZĄ GWIAZDY EKRANU I SCENY O WSPÓŁCZESNYCH DZIEWCZĘTACH?

Wywiad z Marją Malicką i Zbyszkiem Sawanem.

Salonik pp. Nowakowskich (tak bowiem brzmi prawdziwe nazwisko tego małżeństwa aktorskiego) ma obicia złote — nie żółte, nie złociste, ale najwyraźniej złote. Jedną ścianę całkowicie przykrywa panneau — autentyk Stryjeńskiej, cudownem bogactwem barw jeszcze bardziej rozjaśniający ten śliczny pokój, dołem ściany biegnie czarna lakierowana, niska, długa bibljoteczna półka, zakończona z obydwu stron szafkami. Na półce stoi krzak różowej azalji, leżą w nieładzie książki i gazety. Drugą ścianę ozdabia oryginalny piękny fryz z maleńkich białych główek — kopji tych z kassetonów Sali Poselskiej na Wawelu oraz kilka talerzy barwy starego złota. Trzy piękne nowoczesne fotele, jeden puf — barwny kilim na podłodze, w kącie piec, na białych kafelkach którego, namalowane są tulipany o delikatnej czerwieni, głośnik radjowy — oto wszystko. Uroda p. Malickiej dziwnie harmonizuje z tym złotym pokojem — złote włosy, błyszczące oczy, dołeczki. Zapewniam was, że w domu bynajmniej nie nosi tych wszystkich wspaniałości, co na scenie — ma na sobie skromną, wełnianą sukienkę, koloru beige i zarzuconą na plecach różową, włóczkową chusteczkę. Tak samo p. Sawan ubrany jest w szary, sportowy garnitur, krótkie spodnie, pończochy.

— Co sądzimy o młodych dziewczętach? Dla mnie są one w dziewięćdziesięciu procentach miłe, sympatyczne, przyjemne w obcowaniu, w pozostałych dziesięciu nieznośne — orzeka p. Malicka.

— A dla mnie naodwrót — oświadcza p. Sawan. — Zrobiły się teraz takie jakieś rozkrzyczane, wścibskie. Za moich czasów szkolnych nie spotykałem takich. Niech sobie pani wyobrazi, co niektóre z nich do mnie piszą: „Musi pan tak postępować, jak my chcemy, bo od nas zależy pańska popularność".



Pozatem te żądania dostarczenia tylu a tylu fotografij w określonych pozach na poste-restante na jakieś wytworne, mitologiczne hasła! A potem wyrzuty i żale, że nie odpowiadam na listy. Czasem nawet groźby.



Otóż proszę pani, my *wogóle* nie odpowiadamy na listy — nie dlatego, żebyśmy nie chcieli, ale poprostu musielibyśmy dla tego wyrzec się absolutnie naszego życia osobistego, musielibyśmy więc pisać listy dniem i nocą bez odpoczynku.

Na podobieństwo amerykańskich gwiazd filmowych sekretarzy do tego użytku jeszcze nie mamy, owszem, wysyłamy autografy, ale tylko wtedy, gdy w załączeniu znajduje się znaczek, koperta z adresem, nie mamy bowiem czasu odcyfrowywać hieroglify, no i zdjęcie, tak że pozostaje tylko wyjąć pióro wieczne i podpisać.

— Czemuż to ma pan taki krytyczny stosunek do dziewcząt?

— Nie do wszystkich, proszę pani. Nieraz otrzymujemy tak miłe, kulturalne listy, że z przyjemnością na nie odpowiadamy, gdy nam tylko czas na to pozwoli. Mamy np. jedną taką miłą korespondentkę, od której już od lat otrzymujemy listy — w każdym z nich krytyka ostatniej kreacji, w którym miejscu dobrze, w którem źle i dlaczego źle. Nie wiemy nawet kto to jest, a bylibyśmy przecież z przyjemnością na taki list odpowiedzieli.

— Czy dostają państwo pozatem jakieś oryginalne listy?

— Bardzo mało. Przeważnie w tego rodzaju korespondencji panuje niesłychany szablon. Nazywam się tak a tak, mam lat tyle a tyle, jestem uczenicą tej a tej klasy, jestem wielbicielką talentu państwa, proszę o fotografję z autografem. Bardzo często przychodzą listy z żądaniami. Proszę o przysłanie tysiąca dolarów, bo — to dla was przecież drobiazg — jesteście przecież tacy bogaci.

— Żądają też bardzo często, by posłać im „kilka" sukien — wtrąca pani Malicka. — Niech mi pani przyśle kilka swoich balowych sukien— pani przecież ma tak dużo, to co to pani szkodzi, a ja też chcę się bawić. Myślą, że życie aktora jest wieczną bajką. Widzą nas na scenie, czy na ekranie wesołych, dobrze ubranych, zdaje im się więc, że tak jest w życiu, że opływamy w dostatki, że mamy jakieś niesłychane bogactwa. Dlatego też proszą o przysłanie pieniędzy— coprawda po sprawdzeniu i przekonaniu się o jakiejś rzeczywistej potrzebie, pomagamy w miarę sił, ale zawsze nie „tysiącami dolarów".

— Czy składają też państwu osobiste wizyty?

— O, nawet bardzo dużo. Przychodzą przeważnie w porze obiadowej, jedynej porze, którą mam wyłącznie dla siebie. Dlatego też bardzo mi nieraz przykro, gdy nie mogę przyjąć kilku takich miłych dziewcząt, musiałabym jednak w tym celu absolutnie wyrzec się odpoczynku. W mieście zresztą nie są natrętne — rozumieją chyba, że aktor też jest człowiekiem, który czasem musi żyć dla siebie, co innego, gdy byliśmy w tournee. Wchodziły oknami i drzwiami, chciały asystować przy charakteryzacji i przebieraniu się. Mąż mój staczał bohaterskie walki z gromadami dziewcząt, pragnących wedrzeć się do pokoju, w którym spałam po męczącej jeździe samochodem przez wertepy, znajdowaliśmy je nieraz w całkiem nieoczekiwanych kryjówkach, pod łóżkami, za firankami, pod stołami. W Przemyślu zebrały się przed hotelem, w którym zatrzymaliśmy się, takie tłumy, że kelner musiał odpędzać... sikawkami. Zdarzenie to zostało upamiętnione przez pewną młodą, utalentowaną korespondentkę naszą, której za to serdecznie dziękujemy za pośrednictwem „Świata Dziewcząt". Prawda jaka zdolna? Jak świetnie to narysowała. Dostajemy dość dużo takich rysunków, w obecnej jednak chwili są one schowane — ten zresztą jest najlepszy. Zawsze jestem prawdziwie wzruszona takiemi dowodami uznania i pewnego nawet przywiązania ze strony młodzieży, bardzo to jednak miło wiedzieć, że jest się cenionym przez taką publiczność. Ogromną przyjemność może sprawić otrzymanie takiego listu z wyrazami uznania, napisanego w grzecznym, uprzejmym tonie, ale czasem zdarzają się, niestety, bardzo niegrzeczne. Coprawda, mąż mój nieco przesadza, gdyż wypadki takie zda-





Zbyszko Sawan, sympatyczny bohater filmowy.

rzają się bardzo rzadko — dlatego też mogę z całą słusznością powiedzieć, że jednak większość współczesnych dziewcząt jest ogromnie wartościowa, przez jej poważny stosunek do życia, miła, pełna życia. — dużo spotyka się wśród nich istot inteligentnych, myślących, — więcej niż za moich czasów gimnazjalnych.

— Tak — odzywa się p. Sawan — dziewczęta współczesne mają dużo zalet — co nawet ja muszę przyznać, posiadają poczucie swego człowieczeństwa, przeświadczenie o powadze swojej roli w życiu. Często jednak zdarzają się wypadki, gdzie zużytkowują swobodę, którą się cieszą, w sposób niewłaściwy. Mam nadzieję jednakże, że z wiekiem dojdą do rozumu. A naogół byłyby bardzo miłe, gdyby w odzywaniu się do ludzi starszych od nich, przejawiały trochę szacunku, bo przyzna pani, że takie kategoryczne żądania, stawianie jakichś dziwnych warunków co do np. mojego wyglądu zewnętrznego, grożenie konsekwencjami w rodz. utraty popularności — wszystko to jest trochę niewłaściwe.

— Jaką wobec tego, zdaniem państwa, powinna być młoda dziewczyna?

— Dla mnie ideałem młodej dziewczyny, — mówi p. Malicka — jest moja ukochana siostrzenica. Jest żywa, wesoła, pełna temperamentu, lubi bawić się, tańczyć, ale zarazem spokojna, uprzejma, łagodna, taktowna, doskonale wie, jak należy w każdej chwili postąpić, jest ogromnie pracowita, niezwykle gospodarna, a co najważniejsze, dobre z niej, kochane stworzenie, porządny, prawy człowiek.

— Ja uważam, że powinna być przedewszystkiem bardzo estetyczna — oświadcza p. Sawan — powinna wnosić w dom pierwiastek piękna.

— A tak, racja — wtrąca p. Malicka — powinna dużo robić dla upiększenia swojego domu. Znam takie dziewczęta, które są niby takie zdolne, potrafią wszystko tak ładnie zrobić, ale nawet do głowy im nie przyjdzie, że trzeba też owe talenty zastosować w domu. Dużą by to radość sprawiło rodzinie.

— Powinna być bezwzględnie gospodarna — ciągnie p. Sawan — nie znaczy to, że powinna osobiście zmywać garnki, powinna jedynie dbać o to, by wszystko w domu było w porządku... ot tak, jak moja żona.

P. Malicka pokazuje multum dołeczków w [illegible]h.

— Widziała pani coś podobnego? Młoda dama prosi mnie, żebym wpłynęła na mojego małżonka, by odpowiedział na list! Pisała kilkakrotnie, ale nie doczekała się odpowiedzi. Zbysieńku, musisz jej odpowiedzieć! Pomyśl, przecież już siódmy raz pisze.

— A czy znaczek załączony? — pada materjalistyczna odpowiedź.

Nie, stanowczo p. Zbyszko Sawan nie jest czuły na westchnienia jego wielbicielek.

W dalszym ciągu pytam się, jakie są zamiary na przyszłość pp. Nowakowskich.

— Obecnie występuję w teatrze Nowym w sztuce Niccodemi'ego „Cień". Przypuszczam, że sztuka ta przez dłuższy czas nie zejdzie z afisza. Mąż mój ma stałe engagement w teatrach miejskich — obecnie gra w „Keanie", w teatrze Narodowym. Co się tyczy filmu — narazie nic ma nic na horyzoncie.

— W czem wolą państwo występować — w filmie, czy w teatrze?

— O, naturalnie w teatrze — odpowiadają chórem. — Zupełnie inaczej czuje się rasowy aktor w teatrze, niż w kinie. Przedewszystkiem wpływa na to elektryzujący kontakt z widownią, pozatem ciągłość gry tak ważna dla skupienia się aktora.

— Nie wyobraża sobie pani, jak to dziwnem jest zobaczyć siebie na ekranie po raz pierwszy. Długo nie mogłem otrząsnąć się od tego potwornego wrażenia, jaki zrobił na mnie widok ogromnej, niezgrabnie poruszającej się na płótnie sylwetki z dziwnie znajomą twarzą, która po przyjrzeniu się okazała się moją własną „podobizną".

— Czy mają może państwo zamiar urządzić nowe tournee po Polsce — uradować dusze wielbicielek?

— Narazie nie zapowiada się na to. Narazie marzymy o lecie, jakiejś dalekiej podróży nad ciepłe, koniecznie ciepłe morze, o kwiatach, słońcu, wodzie i powietrzu.

— Czy uprawiają państwo jakieś sporty?

— A naturalnie! Codziennie jeździmy konno, wykonujemy domową gimnastykę na kółkach, mąż zaś jest zapalonym automobilistą. Jest doskonałym szoferem, ma świetny wzrok, mocne nerwy, dużą siłę fizyczną. Zresztą podwieziemy panią, to przekona się pani sama.

Rzeczywiście, przekonałam się.

Molly

Wasza stronica

ZAWIODŁYŚMY SIĘ...

Przed trzema laty, naszym profesorem łaciny w klasie czwartej był człowiek wykształcony i bardzo mądry, lecz niestety, również bardzo kochający — wódkę. Na lekcję przychodził bądź to trzeźwy, bądź też pijaniutki, co wcale nie przeszkadzało mu w prowadzeniu lekcji. Wobec powyższego jednak, po kilku miesiącach pracy został zwolniony z posady.

Trzy lata, to przecież w szkolnem życiu nieskończoność! Zapomniałyśmy o naszym kochanym profesorze.

Aż oto w tych dniach gruchnęła między nas wieść, że ów profesor Z. przyjechał do naszego [illegible].

Na pauzach zbieramy się w grupki i jedna dziewczynka druga stara się przekrzyczeć:

— Widziałaś go?

— Jak wygląda?

— Może będzie nas znowu uczył? Chciałabym go koniecznie zobaczyć!

Kryśka, do której wszystkie dziewczynki cisnęły się z pytaniami, była w tej sprawie najbardziej kompetentna, więc przybrała odpowiednią minę i, wszedłszy na katedrę („belfra" oczywiście nigdzie w pobliżu nie było), swoim dźwięcznym głosem zaczęła mówić:

— Człowiek, o którego dopytujecie się, znajduje się obecnie w skrajnej nędzy. Chwilowo rodzice moi wzięli go do siebie, gdyż w przeciwnym razie musiałby zamieszkać na ulicy. Niema on grosza w kieszeni, tak, że pozbawiony jest wszelkich warunków do życia.

— Ale on podobno jest umysłowo chory — wyrwała się któraś.

— Rozmawiałam z nim i mogę was zapewnić, że jest przy zdrowych zmysłach. Wyobraźcie sobie, że na dworcu zatrzymali go, bo przyjechał „na gapę". Gdy jednak przekonali się z książeczki wojskowej, że mają przed sobą profesora z trzema dyplomami, a mianowicie z dyplomem polonisty, matematyka i łacinnika, to natychmiast puścili go wolno.

— Krychna, musimy coś zrobić dla niego, przecież to nasz profesor! — odzywa się z głębi ostatniej ławki mała Tereska.

— Właśnie chciałam z wami pomówić w tej kwestji. Otóż on już dwa dni nie pił żadnego alkoholu (jak na nałogowego pijaka, to jest dosyć długo!) i prosi, ażeby zorganizować mu zbiorowe korepetycje. Nie macie pojęcia, jak on „kapuje" łacinę! Cały tekst łaciński zna na pamięć, a co do tłomaczenia, to wam tylko powiem „klucz" niech się schowa!

— Naprawdę?

— Przekonacie się same. Słowniki możecie już sprzedać, wszystkie słówka dyktuje. Miesięcznie za lekcję będziemy płaciły po 10 zł. Teraz chciałabym zapisać te, które zgadzają się na ten projekt.

— Ja chcę brać lekcje

— I ja.

— I mnie zapisz.

— [illegible]

— [illegible]

Widzicie, jakie jesteście poczciwe. Ostatecznie zapisało się was 20-cia. Za dwieście zł. miesięcznie można żyć.

— Krysiu, a gdy on te pieniądze przepije?

— Pieniędzy mu nie damy, bo on sam ich nie chce, tylko tak zarządzimy, aby mu nie było „ani chłodno ani głodno".

Dziewczęta wpadły w entuzjazm i każda ofiarowała się coś profesorowi zrobić: ta sermetkę, tamta poduszkę, ta to, tamta owo i t. d.

Wreszcie zabrała głos Żanetka, osóbka „od serca", siedząca obok mnie z lewej strony.

— Ponieważ nałogowe pijaństwo jest chorobą, więc ja podejmuję się wyleczyć profesora z tej choroby.

— Ciekawa jestem, w jaki sposób. Może zastosujesz zimne zabiegi wodolecznicze?

— Żarty na stronę. O ile chcecie koniecznie wiedzieć, czem go wyleczę, to w takim razie uchylę rąbka tajemnicy. Otóż dam mu do wypicia — wódki z szarem mydłem! — objaśniła z powagą niedoszłego doktora Żanetka.

— Ha, ha, ha... — zabrzmiał wesoły śmiech dziewczynek.

— Jesteście mało poważne — usłyszałyśmy z ust obrażonej Żanetki — daję słowo, że innego środka na wyleczenie pijaka nie znajdziecie!

Ostatecznie wybrałyśmy komitet, składający się z trzech dziewczynek, który miał na celu zbieranie pieniędzy i zarządzanie zebranym funduszem. Jesteśmy przejęte ważnością swojej roli, gdyż grono nauczycielskie nie wie o niczem, tylko my same z własnej inicjatywy chcemy zająć się losem profesora Z.

— — — — — — — — — — — — — — —

Po trzech dniach...

— — — — — — — — — — — — — — —

Co za rozpacz! Jaki straszny zawód! Przedmiot naszej troski (profesor) zniknął, jakby w wodę wpadł!..

Tak mi żal, bo przecież to, co mogłyśmy uczynić, byłoby może chociaż niewielkim czynem społecznym! *Hala.*

prima aprilis

Ewcia mówiła do Stefci, a Stefcia do Bibci, Bibcia, wiadoma rzecz, zaraz powtórzyła Fibci, Stefcia się o tem dowiedziała i tego samego dnia, przekręcone, znów doniosła — Ewci.

Tak było zresztą od początku świata całego, nie samego tylko świata dziewcząt i tak jest i — czy tak być powinno? Koniecznie? — Zobaczymy?

Takie energiczne wyzwanie tej nie-chlubnej tradycji gadulstwa małych i dużych kobiet, rzuciła pewnego dnia Ewcia i — założyła klub. Tak — klub. Do klubu mogły należeć nieodwołalnie, tylko osoby rodzaju żeńskiego z wyższych sfer, to znaczy — od wysokości nie niżej jak pół metra, z warkoczami lub bez, z cenzusem naukowym do piątej, maksimum — do szóstej klasy włącznie. Osoby, posiadające wyższy poziom naukowy, większy zapas historycznych dat, reguł matematycznych i figur geometrycznych w pamięci - miały być przyjmowane niechętnie, bo niby, co to za przyjemność dla założycielki?! Założycielka bowiem, daleko chętniej zapamiętała figury flow-foxa, z „reguły" nie lubiła matematyki i uważała, że nie ma po co wtrącać się do historji, kiedy o niej samej nic ma tam dotychczas ani słowa!

Stąd widać, że pewność siebie oraz energja Ewci była wprost przytłaczająca, przynajmniej dla Fibci i dla Bibci, to też, nawet im nie przyszło do głowy powiedzieć, czy odpisać „nie", kiedy zostały na otwarcie tego klubu zaproszone i to w sposób tak kategoryczny: „Otwarcie klubu w poniedziałek, punktualnie o piątej. Dzwonić trzy razy i iść wprost do mojego pokoju. Strój: skromne suknie i czyste paznokcie".

Właśnie Fibcia i Bibcia, punktualnie o piątej pierwsze zadzwoniły do Ewci, tak wystraszone, skromnie ubrane i wyszorowane - jak nigdy! Ach, to były wymarzone członkinie! Zaraz usiadły razem na jednym wałku ceratowej kanapy, nic nie mówiły i obie skubały jeden frendzel jedwabnego szalika, czekając, póki się coś nie zacznie... Miało być tak punktualnie, ale nieprawda, bo się czekało na Stefcię.

Stefcia miała piegi na nosie jednakowe zimą i latem i to ją rozdrażniało, szpeciło i sprawiało, że miała ciągle — muchy w nosie, a była jednocześnie, na śmierć i życie, najserdeczniejszą przyjaciółką Ewci, która, jak dorośnie, będzie napewno pięknością i — to Stefcię także drażniło...

— Co to jest? Co za klub? Taka punktualność? Paznokcie? — Też! — I mogło być w tym sensie niezadowolenia naturalnie dalej, ale Ewcia uderzyła pięścią w mały stolik od radja — radjo może tego dnia już wcale nie działało — ale Ewcia zaczęła działać, to ważniejsze!

Mówiła: „Założyłam ten klub po to, ażeby tu plotkować wspólnie. Nie, żeby Fibcia Bibci na mnie, a Stefcia na wszystkie. To są niezdrowe stosunki i, albo się tego wyrzekamy wogóle, albo będziemy sobie raz na tydzień, w poniedziałki o piątej, mówiły wszystko prosto w oczy, bez kłamstwa! Kto podtrzymuje wniosek, niechaj podniesie dwa palce!"

Naturalnie, dwa palce Fibci i Bibci (drugie „śmiertelne" przyjaciółki) wyskoczyły, jak jeden, tylko Stefci muchy w nosie, przeszkodziły tej jednogłośności.

— Dlaczego nie podniosłaś palca? - pyta przewodnicząca - może nie chcesz należeć do klubu?

— Chcę, ale o czem wobec tego będziemy mówiły przez całuśki tydzień? Czy mam zapisywać wszystkie usłyszane plotki i puszczać je dopiero w piątki? A czy ja wytrzymam? — Ja nie chcę i — wolę nie należeć do klubu, ale być uczciwą!

Fibcia i Bibcia — idealne członkinie spojrzały na siebie. W oczach Fibci: „może ona ma rację?" W oczach Bibci: „ona może ma rację?" — nie wiedząc, co począć, spojrzały na Ewcię. Ewcia była czerwona, zupełnie koloru kokardy przy białym sztywnym kołnierzyku pod brodą, miała spuszczone oczy i myślała... A Stefcia tymczasem otworzyła najspokojniej torebkę i przeglądała białe, jak mleko, równe zęby. Nagle Ewcia:

— Przepraszam! Nie jesteś u dentysty! Nie masz powagi dla klubu!

Fibcia i Bibcia oczami: „coś podobnego! Nie ma powagi dla klubu!" — I w tej chwili poprawiły się wygodniej na strasznie śliskim wałku i twarze ich miały teraz wyraz takiej niesłychanej powagi, że Ewci zrobiło się naprawdę przyjemnie.

— Mówię teraz tylko do tych — zaczęła na nowo — które czują, że będą miały zrozumienie dla sprawy. Powiedzcie, czy nie mogłybyśmy tak zrobić, ażeby chociaż cztery, albo nie — chociaż trzy dziewczynki w Warszawie, przestały się bawić w obmawianie i plotki? A jeżeliby jeszcze w innych miastach Polski, w tych tylko, w których mamy znajome dziewczynki, znalazły się też tylko po trzy — „cztery" (odezwał się głos Stefci) — „cztery" (powtórzył głos Ewci) takie dziewczynki, któreby również założyły „klub plotki" — pomnóżcie!..

W ciszy, która zaległa, wszystkie mnożyły swoje znajome miasta przez znajome dziewczynki, prócz Ewci, gdyż, jako przewodnicząca, sama się od tego zwolniła i - - tylko czekała na rezultaty. „Trzy", „trzy", „ja cztery"! Ewcia znów rozkazała: „dodajcie!" Dodały: liczba, jak dotąd, nieimponująca. Ewcia z powagą to zauważyła, ale — przy Bożej pomocy...

Na tem zakończono obrady w nowo-otwartym klubie i wszystkie cztery członkinie, nie wyłączając Stefci, usiadły na ceratowej kanapie. Było bardzo przyjemnie, bardzo ciepło, tylko szkoda, że w radjo coś się rzeczywiście popsuło i że nie można było zatańczyć. Z braku innej rozrywki Stefcia zaproponowała, żeby porozmawiać o wiośnie i o nowych paltach, ale Ewcia, bojąc się, żeby z tego nie wyszły jakieś plotki (klub był już nieczynny), kto gdzie kupuje, na raty, czy za gotówkę, zmieniła temat rozmowy i ni stąd ni zowąd, opowiedziała wszystkim trzem przyjaciółkom odrazu, że poznała jednego ślicznego chłopca, który nazywa się Edzio i chodzi do Zamojskiego. Nie więcej za nic nie chciała powiedzieć Ewcia, ale obiecała, że jeżeli tylko zajdzie cokolwiek ważniejszego, to powie w przyszły piątek... Potem, żeby jeszcze raz zmienić temat rozmowy, pobiegła do kredensu po cukierki. „Toffi" rozpływały się w słodkich, dziewczęcych ustach, ale — nastrój już nie był taki słodki... I pomyśleć, że to wszystko przez Edzia! Bo tak, kłamać (w piątki) nie wolno, a naprawdę żadna z nich, prócz Ewci, nie poznały nikogo nowego i, wogóle, o czem w takim razie mówić?.. Zjadły jeszcze po dwa cukierki, pocałowały się i poszły.

Poprostu nie mogły się doczekać następnego piątku (wszystko z powodu Edzia). Spotkały się wszystkie trzy, prawie jednocześnie: Fibcia, Bibcia i Stefcia, punktualnie za dwie minuty piąta przed drzwiami Ewci na schodach.

— No? — pytała Fibcia.

— Oho! — zapewnia Bibcia.

— A więc? — i dzwoni Stefcia.

Ale, jak tylko weszły do lokalu klubu, gdzieś się podziała jaka-taka brawura, którą miały przed drzwiami. Usiadły wszystkie cztery na tej ceratowej, zimnej otomanie i — milczały, bo... tak to się zdaje, ale co za przyjemność mówić komuś prawdę. Powiedzieć, naprzykład, Stefci prosto w oczy to, że ma dziś widoczniejsze niż kiedykolwiek piegi? Co za satysfakcja?! — Żadna. Albo Bibcia Fibci, że ma, zdaje się, taki sam grzebuszek we włosach, jak ona? Wstrętne małpowanie? Z miłości? — Niema żadnej miłości! Ale, można by o tem także nie mówić wcale, niech sobie nawet weźmie drugi taki sam grzebień z jej głowy. Oddam jej przecież — z miłości... I Bibcia objęła Fibcię. Naprawdę, bardzo się kochały i nawet nic, ale to nic nie miały do powiedzenia tu, w klubie, gdzie miało być wszystko wolno, - jedna na drugą. Stefcia tylko, owszem, wreszcie, jak się rozgadała, to okazało się, że niczego tak Ewci nie zazdrości, jak tej białej cery, wprost — wprost nawet więcej od Edzia! Zachowała się, jak w klubie i powiedziała to odważnie. Ale w tej samej chwili znów Ewcia przyznała się najzupełniej szczerze, że jest „warjacko" zakochana w Edziu, ale że to prawdopodobnie niezadługo „przejdzie"... Ale, ale to jeszcze nie były te zwierzenia, o jakich Ewcia myślała... I nagle, przemówiła Fibcia: „...żeby, żeby Bibcia się na mnie nie gniewała, to ja bym może powiedziała"... Wtedy Bibcia zaraz ją uspokoiła. „Po co? Przecież Stefcia zaraz do mnie zatelefonowała!" — „Ach, tak? Więc jednak nie ustały dawniejsze konszachty — powiedziała Ewcia — dobrze, w takim razie ja przeczytam zaraz, co do mnie napisała Stefcia: „Błagam! Nie mów o tem nikomu, ale strasznie bym chciała, żebyś mnie z tym Edziem zapoznała"...

— No? I co? I dlaczego nie chciałaś mi powiedzieć tego tutaj, w naszym klubie, odrazu? Miałyśmy przecież wszystko mówić sobie szczerze!

— Tak... ale wtedy toby zaraz Fibcia i Bibcia także chciały...

— Acha! Więc, wiecie co? żeby się ślicznie raz na zawsze ze sobą pogodzić i Edziem „po kawałku" podzielić — jutro spotkamy się wszystkie cztery na rogu Smolnej dziesięć minut po trzeciej, wtedy, kiedy Edzio wychodzi ze szkoły i ja was zapoznam.

Jutro! Można sobie wyobrazić, jak Jutro to było wyczekiwane, sto razy więcej, niż wczorajszy piątek! Cztery granatowe berety wierciły się już od pół godziny i przeszkadzały przechodniom na ożywionym w tem miejscu chodniku, a Ewcia coraz zaglądała przez szybę, która godzina na zegarze w aptece. Idzie nareszcie już, idzie!.. Szedł prawdopodobnie z wieloma innymi chłopcami, Ewcia wysunęła się nawet odrobineczkę naprzód, jednak, żaden z nich nie miał nagle uszczęśliwionej miny na taki śliczny widok, jak Ewcia!.. Wreszcie, kiedy już wszyscy chłopcy przeszli - Ewcia wciągnęła panny, ich zmieszanie i rozczarowanie w zaciszny kąt ulicy Smolnej i tam, tak powiedziała:

— Żadnego Edzia nie poznałam, żebyście wiedziały! A gdybym poznała, to zarazbym wam przedstawiła i koniec. Ha, ha, jeszcze bym was dłużej podstępem pomęczyła, zbierała wasze westchnienia i listy, ale — dziś jest wymarzony dzień do niewinnego, bezkarnego pokpiwania z najlepszych przyjaciółek, z ich strasznie głupich w obecnej chwili minek i z pewnych strasznie żółtych piegów, ze złości — Prima Aprilis, moje drogie! *Wł. Wasilewska.*

A TERAZ POROZMAWIAMY

Skrzydlakom.

Cóż za przyjemny świeży i ruchliwy pseudonim! List (Wasz? Twój? — niewiem jak pisać!) — jest naprawdę przemiły. Koniecznie, ale to koniecznie opiszcie lekcję szycia, czy gotowania, czy sprzątania. Napiszcie poprostu tak jak się odbywa, przygważdżając najciekawsze momenty. A nie zapominajcie o knotach bawełnianych! Ta umiejętność zawsze może się przydać. Wyobraźcie sobie, że elektryczność zgasła (może żarówka a może... spóźniona opłata) lampa zapasowa jest, nafta jest i kilka własnoręcznie ukręconych knotów też — czy nie świetne?

A jeśli która z was dostanie posadę na wsi, czy sama będzie gospodarowała, będzie mogła rozszerzyć tę praktyczną umiejętność, która bardzo się przyda „pod strzechami"! Nie wymyślajcie więc na biedne knoty, bo każda taka praktyczna umiejętność w jakiejś trudnej chwili wyskoczy, jak znalazł.

Czekamy więc na korespondencję i jeśli tylko będzie napisana prosto, żywo, naturalnie, chętnie zamieścimy jako „reportaż z życia". Nawiasem mówiąc jest to dobry trening pisarski.

Dużo serdeczności dla wszystkich „Skrzydlaków"!

Z. K. z Lutyni.

Nie zrażaj się Zochno, że *Świat Dziewcząt* jest dla Ciebie - - jak zadługa sukienka — trochę „na wyrost". Przecież nie dajemy rzeczy trudnych! My też chcemy zamieszczać i nadal dużo ciekawych artykułów — życzenia więc Twoje i nasze idą w zgodnej parze. Czy jesteś na wsi teraz? Szczęśliwa! Masz więc całą wiosnę bliziutko i jak na dłoni. Napisz jeszcze i obszerniej do nas.

Alinie.

Ależ co znowu, Alinko, napewno Siostry pozwolą wam prenumerować nasze pismo! Dajemy w nim przecież tyle życiowych wskazówek i umiejętności — powstało przecież tylko, poto aby wam potrochu pokazywać prawdziwe życie i przygotować do niego.

Żeby poprawić pismo zdecyduj się na pewien stały sposób pisania (prosto czy pochyło, małe czy duże litery). Wybierz ten, który przy maksymalnej szybkości wygląda najlepiej. Staraj się jednak pisać wolno i starannie.

Sporty polubisz, o ile wciągniesz się do nich. Tak, zboku się tylko przyglądając trudno obudzić w sobie zamiłowanie.

Jak przestać być poważną? Dziecko drogie, to trudno zrobić sztucznie. Jeśli jesteś taką z natury, nie będziesz przecież śmiała się, podskakiwała i urządzała różne kawały naprzekór swemu usposobieniu!

Jeśli zdarzy się, przyjdzie zzewnątrz coś, co cię ucieszy do głębi — może sama wyjdziesz ze swojej rezerwy — a może przyjść chwila, kiedy jakaś drobnostka rozweseli cię i poruszy — przekonasz się wtedy, że możesz być „jak inne".

Nie zarażaj się jednak specjalnie hałaśliwym sposobem bycia. To niema czasem nic wspólnego z żywością, a jest tylko brakiem opanowania, za który to brak gorzko się czasem płaci w życiu.

Myślę, Alu, że ta twoja powaga, to nie jest nic złego. I nie walcz z tem specjalnie. Jest to dowód umiejętności skupiania się, intensywniejszego życia wewnętrznego, a są to dobre prognostyki na przyszłość. Hałaśliwa trzpiotowatość męczy i nas samych i otoczenie. Oczywiście nie trzeba być sową ani mrukiem, ani odpowiadać wyłącznie „tak" lub „nie" ani być nudną! Ale sądząc z Twego listu, to Ci chyba nie grozi!

Prosimy o dalszą furę wiadomości.

Zula S.

Korespondencja Twoja poszła do „Bratnich Dusz". Czy masz wyniki?? Nie, skąd znowu, żadnego głupstwa w liście nie było. Damy nieraz jeszcze coś z Harcerstwa.

Nadsyłane utwory zamieszczamy bądź na „Waszej stronicy", bądź omawiamy w „Naszem seminarjum". Każdą kartkę trzeba podpisywać osobno. Ty np. zamieściłaś na jednej „Br. dusze" i list do Redakcji. To przecież bardzo niewygodne dla nas i dla was! Wynikają stąd opóźnione odpowiedzi. Czy podpisałaś kartkę z utworem? Jeśli nie, może łatwo zaginąć, albo nie będziemy wiedziały, że to właśnie Twój. Jak widzisz już mamy wątpliwość. Myślę, że jeszcze nieraz dużo i równie miłe napiszesz do nas — pamiętaj więc o tych technicznych koniecznościach korespondencji. Do nadsyłanych do druku, czy oceny utworów, koniecznie trzeba dodawać znaczek pocztowy.

Przyjm dużo b. miłych wyrazów i napisz [illegible]

„Mól książkowy".

Biedny, przeładowany społecznemi obowiązkami Molu! Naprawdę, jeśli potrafisz się z tego wszystkiego wywiązać, należy Ci się szczery podziw. A może właśnie czujesz się na siłach, skoro tylu rzeczy się podjęłaś. Bardzo prosimy o przysłanie opisu zbiórki w gminie. Pomyśl, jak bardzo interesują nas wasze prace społeczne, ich przebieg i wyniki i jakie to będzie ciekawe dla wszystkich czytelniczek! Napewno zajmie je to bardziej, niż poszczególne fakty umianej, czy nieumianej lekcji, oraz dziecinne kawały, robione nauczycielstwu. Czy nie mam racji?

Dużo sił i wytrwania „Móliczku".

P. S. Resztę korespondentek proszę o trochę cierpliwości, aż do następnych numerów.

REDAKCJA.

BRATNIE DUSZE

KOCHANY „ŚWIECIE DZIEWCZĄT!"

Zapewne żadna z przyjaciółek „Świata Dziewcząt" nie wie, że niedaleko na obczyźnie, boć niemal tuż nad granicą polsko-czeską bije polskie serduszko dziewczęcia, które z utęsknieniem wyczekuje 3 razy w miesiącu granatowej kapy i skórzanej torby listonosza, w której wśród masy listów bieli się w szarem opakowaniu gazetka „Świat dziewcząt" z napisem: dla Henryki... z Czechosłowacji.

— Cóż to za dziewczyna? — spyta może niejedna. Otóż przedstawiam się: mam zielone oczy, ciemno blond włosy (rzadko kiedy „utrefione"), szalenie lubię ozdabiać swą szyję szklanemi koralikami, zawsze ostatnim krzykiem mody.

W numerze 2-gim tegoż pisemka wyczytałam w artykule p. Kornela Makuszyńskiego, że Lwowianki są najpiękniejszemi panienkami. Nie wątpię, że oprócz urody, posiadają i inne cnoty i zalety, bo według mnie każda studentka powinna oprócz odrabiania lekcyj uprawiać sport, grać, tańczyć, śpiewać, jeździć, szyć i gotować. Zwracam się więc za Twojem pośrednictwem z prośbą do pięknych Lwowianek o korespondowanie ze mną. Jestem prawie przez cały rok odcięta od swej Ojczyzny, zaledwie w wakacyjnej porze letniej mogę 2 miesiące spędzić w polskich górach — Beskidach. Chciałabym porozmawiać listownie z czytelniczkami „Świata dziewcząt" z okolicy Lwowa i to możliwe z harcerkami. Odpowiem na każdy list, które proszę kierować pod adresem: Henryka Przygrodzka, studentka, 7 klasa Polskiego Real. Gimnazjum w Orłowej, Czechosłowacja.

Będę wdzięczna niezmiernie, gdyż radość z otrzymania listu czy widokówki, przerwie mi szarzyznę dnia szkolnego. Kochany „Świecie Dziewcząt" pozdrów mi wszystkie polskie dziewczęta i uściśnij je mocno ode mnie.

A gdy znajdziesz kącik miejsca wolnego, zwróć się do Twoich przyjaciółek z moją prośbą, o co Cię prosi (przewracając „morskiemi" oczyma błagalnie)

stała Czytelniczka
Henryka Przygrodzka

Chinko! Chciałabym korespondować z Tobą. Napisałaś, że kochasz przyrodę, ja ją również kocham i lubię to wszystko, co Ty. Jeśli zechciałabyś więc korespondować ze mną napisz do mnie, lub podaj swój adres na łamach „Świata Dziewcząt", to wtedy ja napiszę do Ciebie.

J. Bartoszkówna.
Pabjanice (koło Łodzi) ul. Japońska 15.

Chinko!

Piszesz, że gdyby znalazła się czytelniczka o podobnych Twoim zamiłowaniach, może szukać w Tobie bratniej duszy. Przypuszczam, że znalazła się taka i to może nie jedna. Bądź i dla mnie taką bratnią duszą, a w dowód zawartego braterstwa napisz do mnie, proszę. Adres mój prześle Ci łaskawie Redakcja, którą o to prosiłam.

Janka W.

Mam lat 20-cia. Uważają mnie za poważną, ale bardzo lubię się pośmiać i pożartować, jeśli się sposobność nadarzy. Lubię wesołe ale nie trzpiotowate dziewczęta. Może odpisze mi która z czytających te słowa?

Wydaje mi się bardzo miłem móc wymienić z całkiem nieznaną, listy, opisywać o swym życiu, upodobaniach i t. p.

Podaję mój adres i czekam na odpowiedź!

Helena Gałęska
Rawicz, ul. Paderewskiego 26/28.

Kochane Czytelniczki!

Jeśli która z Warszawianek podziela moje zamiłowania t. zn. uwielbia sport, przyrodę, ładne książki, filmy, lubi robótki ręczne, a pragnie nawiązać korespondencję, niech napisze do mnie pod adresem:

Jadwiga Neupanerówna
Tczew, ul. Zielona 1.

Mam lat 18, studjuję romanistykę na U. W., jestem podobno wielką marzycielką — lubię zatem piękne krajobrazy, kocham muzykę i piszę wiersze. To nie przeszkadza mi bynajmniej być gorącą zwolenniczką sportów, a zwłaszcza turystyki. Największą moją zaletą jest... mała waga, co jest bardzo przydatne w wycieczkach, największą zaś wadą — zbyt ostry język. Ale właśnie jestem w trakcie zwalczania tej wady, nie jestem więc zbyt groźna. Pozatem — cenię pogodę i dobry dowcip. Takby się przedstawiała „moja dusza". Jeżeli która z czytelniczek dojdzie do wniosku, że jej dusza jest pokrewna mojej, i zechce do mnie napisać — będę bardzo zadowolona. Zastrzegam tylko zgóry, że nie znoszę zbytniego entuzjazmowania się i wylewności uczuć. Pozatem przyrzekam pisać bardzo wesołe listy. Nazywam się Zula Słobodzianka. Adres: Warszawa 4, Stalowa 11 — 49.

Warunki prenumeraty: rocznie — zł. 10.—; półrocznie — zł. 5.—; kwartalnie — zł. 2.60; miesięcznie — zł. 1.—.
Cena ogłoszeń: strona dzieli się na 4 łamy. Szerokość 1 łamu 54 mm. 1 mm w łamie 60 gr. Cała strona 720.— zł.

OGŁOSZENIA PRZYJMUJĄ: Biuro Ogłoszeniowe Tow. Wyd. „Bluszcz", Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40, Rudolf Mosse, Marszałkowska 124; „PAT", Królewska 5; T. Pietraszek, Marszałkowska 115; Polska Agencja Publicystyczna, Marszałkowska 95; Międzynarod. Biuro Ogł., Senatorska 29; „Ruch", Wydz. Ogł., Poznańska 68; Jan Apte, Zielna 26; „Par", Bracka 17; „Merkury", Królewska 49; Kraków: „Par", Rynek 46; Cieszyn: Rudolf Pszczółka, Rynek; Katowice: „Par", Poprzeczna 8; Lwów: „Par", Akademicka 14; Łódź: Fuchs, Piotrowska 50; Poznań: Pol. Agencja Rekl. „Par", 27 grudnia 10, Wilno: Biuro Jutana, Niemiecka 14; Gdańsk: „Devera", Kohlenmarkt 10.

Redaktorki: Hanna Januszewska-Moszyńska i Wanda Borudzka. Wydawca: Tow. Wyd. „BLUSZCZ".

Redakcja i Administracja Solec 87, tel. 244-18 i 787-08. Konto P. K. O. Nr. 18.800
Redaktorki przyjmują w poniedziałki i środy od godz. 11 do 13.

Zakłady Graficzne Tow. „Bluszcz", Warszawa, Solec 87. Tel. 787-03.